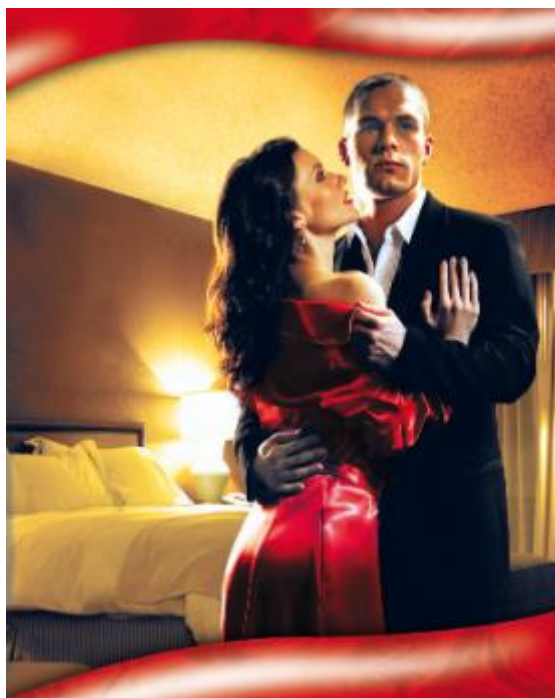




*Jan Colley*



*Najcenniejszy klejnot*

**Diamantowe imperium 04**

# ROZDZIAŁ PIERWSZY

- Danielle Hammond? Mam dla pani propozycję.

Dani zamruwała, wyrwana z miłych marzeń w kawiarnianym ogródku. Słońce północnego Queensland przesłoniła sylwetka mężczyzny.

- Mogę się przysiąc?

Miękki akcent brzmiał bardziej kontynentalnie niż australijsko. Dopiero po chwili zorientowała się, że obiekt jej marzeń, mężczyzna, który chwilę temu wszedł do jej sklepu, właśnie stoi nad nią.

Jeszcze później skojarzyła, że widziała go już wcześniej. To był... jak mu tam... Quinn Everard!

Położył na stole wizytówkę i wysunął białe krzeselko naprzeciwko niej.

Dani zsunęła okulary przeciwsłoneczne na nos i przeczytała wizytówkę. „Quinn Everard. Makler”. Prosto, elegancko, na srebrzystym kartoniku. Nigdy nie spotkali się osobiście, lecz przez ostatnie lata wielokrotnie widziała jego twarz w publikacjach dotyczących kamieni szlachetnych.

Odwrócił głowę w stronę wejścia do kawiarni i natychmiast pojawiła się kelnerka. Zamówił kawę, a w tym czasie ciekawość Dani doszła do zenitu.

Czego mógł chcieć od niej ten wielki australijski ekspert od klejnotów? Przecież kiedyś bardzo jednoznacznie publicznie oznajmił, że nie jest godna nawet butów mu czyścić.

- Czy coś się panu spodobało? - spytała.

Orzechowe oczy przyjrzały jej się uważnie.

- W sklepie - dodała.

- Szukałem pani. Asystent mi panią wskazał.

- Oglądał pan wystawę, widziałam.

Oparł łokieć na stole i patrzył na nią. Z jej punktu widzenia był to kolejny gwóźdź do jego trumny. Nie odwróciła wzroku, przypominając sobie jego sylwetkę przed wystawą. Był w garniturze od Armaniego - rzadkość w tropikach. Po chwili wyprostował się i

zniknął w sklepie. Poruszał się jak ktoś nawykły do walki. Nos wyraźnie kiedyś mu złamano, a kącik ust przecinała gładka, blada blizna.

- Ostatnio sporo o pani słyszałem. - Było tak dzięki Howardowi Blackstone'owi, dobroczyńcy Dani, który w lutym zrobił ją główną projektantką swojej dorocznej kolekcji biżuterii.

- Prawdopodobnie w związku z kolekcją Blackstone Jewellery.

Firma ta była oddziałem detalicznym Blackstone Diamonds, obejmującej przede wszystkim kopalnie i obróbkę kamieni szlachetnych.

- Och, zapomniałam. Nie był pan zaproszony - dodała.

Przelotne rozbawienie pogłębiło na moment jego zmarszczki koło ust.

- Nigdy nie powiedziałem, że pani prace nie są interesujące, panno Hammond. Dlatego tu jestem. Jak już mówiłem, mam dla pani propozycję.

Ogarnęło ją uczucie triumfu. Ten człowiek nigdy nawet nie udawał, że podobają mu się jej projekty, a jednak się do niej zwrócił. Czego, u licha, mógł od niej chcieć?

- Propozycję dla mnie? Prima aprilis minął parę dni temu.

- Chcę, by zrobiła pani oprawę dla wielkiego i bardzo specjalnego diamentu.

Ogromnie satysfakcjonujące. Wielki Quinn Everard chciał, aby to ona, Dani Hammond, zrobiła dla niego biżuterię. Jeden mały problem. Nienawidzili się nawzajem. Uniosła głowę.

- Nie. - Oczy mu się zwięziły. - Diamenty nie są moją specjalnością.

Powróciły do niej słowa wypowiedziane przez niego cztery lata temu, na poważnym konkursie o nagrodę Młodego Projektanta Roku, który według wszystkich powinna była wygrać. W trakcie dłuższej wypowiedzi napomknął, że „projektant biżuterii powinien trzymać się tego, na czym się zna i co mu wychodzi. Panna Hammond może zęby zjeść na diamentach, jednak nie ma do nich smykałki, nie czuje ich duszy”.

Była to jedna z wielu negatywnych opinii, jakie Dani dostała od Quinna Everarda. Uznała, że to z powodu jego waśni z Howardem przed laty.

- Pamięta pan? - spytała słodkim głosem i w odpowiedzi otrzymała zimne, oceniające spojrzenie.

- Zapłata będzie nader szczodra.

To akurat brzmiało interesująco.

- Jak szczodra? - Gdyby dostała trochę dodatkowej gotówki, zdołałaby do końca spłacić pożyczkę od Howarda. Oczywiście pieniądze trafią do spadkobierców, bo zmarł tego roku. Może ta hojność wystarczy nawet na nowe gabloty wystawiennicze? Drobną kosmetykę przestarzałego wystroju?

Quinn wyjął pióro, wyglądające na złote, napisał coś na odwrocie wizytówki i odwrócił tak, by mogła przeczytać.

Aż się zachłysnęła z zaskoczenia i poderwała głowę znad widniejącej na kartoniku liczby.

- Chce mi pan tyle zapłacić za projekt jednej sztuki biżuterii?

Skinął głową.

Suma była niewiarygodna. Zapomnieć o wystroju. To by wystarczyło na większe, bardziej nowoczesne i akurat wolne pomieszczenie znajdujące się o dwa numery obok.

- To dużo więcej niż jest przyjęte, zdaje pan sobie z tego sprawę?

- Tak czy nie?

Potrząsnęła głową, pewna, że jest obiektem czyjegoś żartu.

- Odpowiedź brzmi „nie”.

Quinn osunął się na oparcie, nie ukrywając niezadowolenia.

- Ostatnio i pani, i pani rodzina zyskała sobie sporo niezbyt miłego rozgłosu, nieprawdaż? Śmierć Howarda trzy miesiące temu. Nie wspominając już o współpasażerach podczas feralnego lotu.

Jakby nie wiedziała. Nikt nie przeżył, gdy w styczniową noc wycarterowany przez Howarda samolot w drodze do Auckland runął do oceanu. Kiedy okazało się, że na pokładzie była też Marisa Hammond, media dostały amoku. Marisa była żoną Matta, wroga Howarda, szefa House of Hammond, firmy jubilerskiej z Nowej Zelandii zajmującej się antyczną i luksusową biżuterią. Matt był także kuzynem Dani, choć nigdy się nie spotkali z powodu trwającej od trzydziestu lat waśni pomiędzy rodzinami.

Odczytanie testamentu Howarda w miesiąc po wypadku wstrząsnęło całą rodziną. Marisa otrzymała znaczący zapis i ustanowiono fundusz powierniczy dla jej syna, Blake'a, co dało podstawę do domysłów, że miała romans z Howardem. Zresztą wszyscy

chcieli wiedzieć, kto jest prawdziwym ojcem Blake'a: Howard czy Matt? Historia rodzin i ich waśni przez kilka miesięcy była na ustach wszystkich.

Pomimo narastającego rozdrażnienia Dani udała nonszalancję.

- No i co z tego?

- I jeszcze biedni Ric i Kimberly - ciągnął. - Musieli być zachwyceni, kiedy kamery telewizyjne pojawiły się na ich ślubie...

Poważne niedomówienie. Dani wychowała się w posiadłości Howarda Blackstone'a, mieszkając tam z matką i kuzynami, Kimberly i Ryanem. Kim ostatnio ponownie poślubiła swojego byłego męża, Rica Perriniego. Ich huczne wesele w Sydney, na jachcie w przystani, o mały włos byłoby zepsute, gdy pojawiły się helikoptery mediów. Ale co Quinn Everard mógł o tym wiedzieć?

- Nie spotkałem się jeszcze z Ryanem - dokończył Quinn - ale Jessicę trochę znam. Według mnie będzie uroczą panną młodą, nieprawdaż?

Ryan z Jessicą niedawno ogłosili swoje zaręczyny, ale szczegóły wesela stanowiły pilnie strzeżony sekret rodzinny.

- Nie mam pojęcia, o czym pan mówi - powiedziała ostrożnie, zaskoczona.

Ryan bardzo dbał o prywatność, dlatego poprosił Dani, by pomogła zorganizować wesele tutaj, z daleka od Sydney i tamtejszych plotkarzy. Port Douglas to idealny wybór. Istniała spora szansa, że pozostaną nierozpoznani, a jednocześnie był tu bogaty wybór zarówno światowej klasy miejsc na uroczystość, jak i firm obsługujących. Z pomocą Dani przygotowania do mającego się odbyć za trzy tygodnie rodzinnego wesela były poważnie zaawansowane.

- Doprawdy? - zdziwił się kpiąco Quinn. - Tu, na północy, jest kilka pięknych plaż, prawda? Słyszałem, że Oak Hill jest bardzo ładne.

Przestraszyła się. Przecież nie miał się skąd dowiedzieć, wszyscy uczestnicy zaprzysięgli dochowanie tajemnicy.

- Pańskie informacje są nieaktualne, panie Everard - skłamała. - Ślub wcale nie odbędzie się w Port Douglas. To tylko przykrywką mająca odwrócić uwagę niepowołanych.

- Przykrywka? Moje źródło zarzeka się, że van Berhopt Resort szykuje na dwudziestego kwietnia specjalną uroczystość. Ośrodek wygląda na stronie internetowej fantastycznie, jest idealny na dyskretne wesele w rodzinnym gronie.

- Jak, u diabła, się pan o tym dowiedział?

- Świat diamentów jest niezmiernie mały.

- To szantaż - mruknęła Dani.

Wzruszył ramionami i spoważniał.

- To biznes, panno Hammond. Stać panią na odrzucenie takiego wynagrodzenia?

- Niech pan robi, co chce. - Odsunęła szklanekę i zgarnęła torebkę. Zamieszkała tu właśnie po to, żeby być z daleka od plotek. - I Blackstone'owie, i ja, przyzwyczajeni jesteśmy do zainteresowania ze strony mediów.

- Biedni Ryan i Jessica, ich najpiękniejszy dzień w życiu będzie zmarnowany. A reszta pani rodziny, zwłaszcza pani mama, czy będą równie obojętni? Wszystkie te niesmaczne spekulacje, rozdrapywanie starych rodzinnych ran, raz za razem...

- Niech pan zostawi w spokoju moją matkę - warknęła Dani. Waśń Blackstone'ów i Hammondów trzydzieści lat temu oderwała od matki jej przyrodniego brata. Od chwili śmierci Howarda największym marzeniem Sonyi Hammond było połączenie na nowo rodzinnych frakcji.

- Naprawdę współczuję, sam bardzo cenię prywatność.

Dani czuła, że przegrywa. Czy miała prawo wystawiać swoich najbliższych na zagrożenie skandalami i wstydem?

- Może pani oszczędzić im całej tej niepożądaney uwagi. Ryan i Jessica będą mieli swój wymarzony dzień. A pani, Danielle, zarobi mnóstwo pieniędzy.

Rzuciła mu wściekłe spojrzenie. Tylko jej rodzina zwracała się do niej per Danielle. Tu, w Port, jak zwano to miasto, znana była jako Dani Hammond, zgodnie z nazwą marki jej biżuterii. Większość ludzi w tej okolicy nie miała pojęcia, że jest spokrewniona z jedną z najbogatszych i znanych australijskich rodzin. A ci, którzy wiedzieli, mieli to w nosie.

- Tak czy nie?



Nie chciała zniszczyć ślubu Jessiki i Ryana i ponownie oglądać tego zaszczutego spojrzenia w oczach swojej matki.

- Dobrze. Proszę przynieść ten przeklęty kamień do sklepu - warknęła i zerwała się z miejsca.

Quinn Everard przechylił głowę, potem wstał i wskazał stojące po drugiej stronie ulicy samochody.

- Mój wóz stoi tuż obok. Podwiozę panią.

Zawahała się. Nie dlatego, żeby podejrzewała mężczyznę o takiej reputacji o jakieś niebezpieczne posunięcia. To jej własna reakcja - jej silny pociąg do niego - budziła obawy. Ale czy mogła odmówić człowiekowi mającemu wielkie wpływy w branży i oferującemu takie pieniądze?

- Nie noszę tego diamentu w kieszeni. - Quinn skrzywił się, widząc jej niepewność.  
- Wynająłem dom w Four Mile Beach.

Była to odległa gmina w hrabstwie Port Douglas. Sama miała tam mieszkanie.

- Jestem zajęta.

- Właśnie. Czas to pieniądz, Danielle.

Niecierpliwie pociągnął ją za sobą przez jezdnię.

- Gdzie konkretnie w Four Mile? - spytała. - Może pan być sławny, ale dla mnie jest pan obcy. Nigdzie się nie ruszę bez opowiedzenia się asystentowi.

- Beach Road numer dwa. - Zatrzymał się przy czarnym bmw. - Poczekam.

Cała spięta z oburzenia wsunęła głowę do sklepu i powiedziała Steve'owi, asystentowi, dokąd jedzie. W czasie krótkiej jazdy niewiele się odzywali. Kiedy dotarli do jego domu, oczy otwarły jej się ze zdumienia. Przechodziła obok tego miejsca codziennie w drodze do pracy. Nie lubiła wczesnego wstawania i potrzebowała pięćdziesięciminutowego spaceru wzdłuż całego pięknego Four Mile Beach, by poprawić sobie humor.

Dom stał wprost na wydmach, otoczony wysokim murem. Dyskretna tabliczka na ścianie przy wejściu oznajmiała, że to własność Luxury Executive Accommodation. Dani zawsze była ciekawa, jak jest w środku.

Weszła za Quinnem do wielkiego, wielopoziomowego salonu połączonego z jadalnią. Wewnątrz przeplatały się styl azjatycki z australijskim. Było piękniej, niż sobie wyobrażała.

- Zapraszam.

Stał przy drzwiach prowadzących na schody. Zawahała się przez moment. Zupełnie mu nie ufała. Powstrzymywało ją wrażenie, że zawsze bez wysiłku dostawał to, czego chciał.

Otworzył pierwsze drzwi i silne światło zalało warsztat jubilerski jak z marzeń. W kącie, w idealnym oświetleniu stały sztalugi. Po jednej stronie ciągnął się długi blat do pracy z dwoma stołkami na końcu i tablicą z narzędziami powyżej, wypełnioną wszystkim, co mogło się przydać, od pęset, przez przyrządy pomiarowe, do lup. Było stanowisko do woskowania, bloki grawerskie, mikropalnik, tokarka, młyny - wszystko, co miała w swoim warsztacie, tylko nowe, najlepsze w branży. Musiało kosztować fortunę.

Powoli dotarło do niej, że oczekiwał od niej pracy nad diamentem tutaj. Na biurku stał otwarty laptop, niewątpliwie z najlepszym dostępnym oprogramowaniem. Biurko i stół warsztatowy oświetlały lampy dające światło dzienne.

- Tak był pan pewien, że się zgodzę?

- W przeszłości kwestionowałem pani motywacje, panno Hammond, nie inteligencję.

- Dlaczego?

- Diament nie może opuścić tego domu.

- Czyli mam tu przychodzić, kiedy będę miała parę wolnych minut i chęć, by popracować? - Potrząsnęła głową. - To zajmie miesiące.

Quinn odwrócił się do drzwi i gestem wskazał jej, by poszła przodem. Ostrożnie minęła go i ruszyła korytarzem, oddalając się od schodów. Zatrzymali się przy następnych drzwiach. Pchnął je. Zrobiła kilka niepewnych kroków.

Długie, białe zasłony powiewały przy otwartym oknie, zza drzew dobiegał szum morza. Wielkie łoże, nakryte lśniąca satyną w szerokie czerwone i złote pasy, zajmowało większą część ściany. Na stoliczkach przy łóżku stały lampki o czerwonych abażurach, pasujących do poduszek ułożonych na ławce przy oknie. Dani uśmiechnęła się lekko: oto



sypialnia ze snów, a na dokładkę szum fal. Odwróciła się do Quinna, niedbale opartego o framugę. Jej uśmiech powoli zamarł, gdy dotarło do niej, jakie są jego intencje. Oczekiwał, że zamieszka tu. Razem z nim.

- Nie - powiedziała zdecydowanie.

Przechylił lekko głowę.

- To są moje warunki. Zostaje tu pani i pracuje nad diamentem w przygotowanym warsztacie.

Powoli pokręciła głową.

- To nie podlega negocjacom - dodał.

- Nie zostanę tu sama z panem.

- Niech pani nie będzie dziecinna. Co, według pani, może się wydarzyć?

Jeśli jego słowa miały sprawić, by poczuła się nieokrzesana i głupia, udało mu się.

- Ale dlaczego? - zająknęła się, czerwona jak burak.

- Ze względu na bezpieczeństwo i czas. To niezwykle cenny kamień, a ja jestem zajęтым człowiekiem. Nie mam czasu siedzieć w tej dziurze ani chwili dłużej, niż to niezbędne.

Ponownie potrząsnęła głową.

- W żadnym razie. Proszę przynieść kamień do sklepu. Będę nad nim pracować pomiędzy jednym klientem a drugim.

- Nie sądzę - odparł miękko i wyszedł.

Nawet nie zauważył jej odmowy. Wizja zamknięcia, prób przepchnięcia się siłą obok niego na wolność, bezradnego walenia pięściami w jego pierś wywołała u niej zawroty głowy. Ruszyła za nim.

- Proszę posłuchać, jeśli obawia się pan kradzieży, to niepotrzebnie. Od lat nie było w tym mieście żadnego rabunku.

- Nie rozumie pani, panno Hammond. - Odwrócił się tak gwałtownie, że prawie na niego wpadła. - To jest naprawdę wyjątkowy diament.

- W sklepie będzie absolutnie bezpieczny, a poza tym jestem ubezpieczona.

Wpatrywał się w nią, wywołując mocniejsze bicie serca. Cofnęła się pospiesznie, boleśnie świadoma, że on nawet nie drgnął.

- Czy słyszała pani o diamencie Distinction, Danielle?

- Tym Dist...? - Zabrakło jej tchu ze zdumienia.

Diaament Distinction to prawie czterdzieści karatów intensywnie żółtego blasku. Pochodził z kopalń Kimberley w Afryce Południowej. Od lat nikt o nim nie słyszał.

- Ma pan Distinction? - Głośno przełknęła ślinę. - Tutaj?

- Nie, panno Hammond. - Odwrócił się plecami i ruszył do drzwi pokoju obok „jej” sypialni. - Mam jego większego brata - rzekł zgryźliwie.

TLR

## ROZDZIAŁ DRUGI

Quinn wszedł do sypialni i uśmiechnął się, gdy wyczuł jej niepewną obecność przy drzwiach. Otworzywszy panel w ścianie zakrywający sejf, wstukał kod na klawiaturze. Cały dom był pełen zabezpieczeń. Sejf otwierała podwójna kombinacja cyfr oraz klucz. Miał też czujnik ruchu. Quinn dbał o najlepsze zabezpieczenia dostępne na rynku, w końcu to podstawowa sprawa w tym biznesie.

Zerknął w jej stronę. Stała przy drzwiach, zagryzając dolną wargę. Pomylił się i rozległ się informujący o tym dźwięk. Zaklął cicho, nakazując sobie przestać myśleć o jej ciemnobursztynowych oczach i pełnej dolnej wardze. Już była na haczyku, czas związać żyłkę.

Z wyjątkowym skupieniem przedarł się przez skomplikowane sekwencje zabezpieczeń i wyjął ciężkie, stalowe pudełko, z którego, po pokonaniu zapory kolejnych kodów, wydostał ręcznie szytą, skórzaną saszetkę. Po jej otwarciu mechanizm uniósł niewielką, pokrytą zamszem platformę, na której spoczywał diament. Wtedy odwrócił się i skinieniem głowy zaprosił ją bliżej.

Podeszła powoli, nie odrywając wzroku od jego twarzy. Światło lampy opływało jej skórę i znów, tak jak przy pierwszym spotkaniu, pomyślał, że jej twarz pełna jest sprzeczności. Szeroko rozstawione, miodowe oczy, prosty nos osoby mocno stojącej na ziemi, i nagle usta jak pąki róż, sugerujące niewinność i brak pewności siebie.

I tak samo jak wtedy zrobiła na nim piorunujące wrażenie. Próbowała okiełznać nieposłuszne włosy chustą, ale i tak ciemnorude loki sterczały we wszystkich kierunkach. Miała mocno oryginalne wyczucie koloru: połączyła bluzkę w czerwono-różowe pasy z interesująco krótką spódniczką w kwiaty. Była nietypowa, niekonwencjonalna, pełna życia i energii. Znał ładniejsze kobiety, ale żadna nie była tak barwna i jedyna w swoim rodzaju.

Spojrzała błyszczącymi oczami na diament. Kiedy w końcu podniosła wzrok na Quinna, oszołomił go wyraz wdzięczności w jej spojrzeniu. Musiała wiedzieć, jak niewiele osób miało okazję zobaczyć ten skarb.

Naciesz się nim, pomyślał ponuro. Gdyby to zależało od niego, nie dopuściłby Danielle Hammond bliżej niż na sto metrów od klejnotu, nieważne, jak interesującą miała twarz.

Wyciągnęła rękę, zawiesiła ją niepewnie nad kamieniem.

- Mogę?

Jedna jego połowa zastanawiała się, jak ten diament wyglądałby na jej skórze lub we włosach, druga protestowała. Miał jednak polecenia. Skinął krótko głową.

Opuściła szczupłą dłoń i delikatnie musnęła palcem koronę perfekcyjnego ośmiościanu. Potem zabrała rękę, skrzyżowała je przed sobą i patrzyła tylko na kamień.

- Umowa stoi, panno Hammond? - spytał cicho, niechętnie zakłócając jej chwilę pełnego czci podziwu. Takiego samego, jaki widział, gdy sześć lat temu pokazał ten wyjątkowy klejnot swojemu klientowi.

- A mam wybór? - mruknęła. Żaden mający choć kroplę oleju w głowie jubiler nie odrzuciłby takiej okazji. - I skoro pan mnie szantażuje...

Uśmiechnął się.

- Oczywiście.

Wiedział, że nawet nieprzymuszana zrobiłaby wszystko, byle tylko dostać ten kamień w swoje ręce.

- Warunki są następujące: na czas pracy pozostanie pani w tym domu. Pracować zaś będzie pani dzień i noc, jeśli to tylko możliwe. I nikomu nie powie pani o klejnocie.

- Mam swoje życie, przecież pan wie.

- Nie, już nie. - Potrząsnął zdecydowanie głową. - Przynajmniej przez kilka najbliższych tygodni.

- A mój sklep?

Dziś rano w jej sklepiku Quinn przeprowadził owocną rozmowę z młodym hipisem imieniem Steve.

- Pani asystent potrzebuje więcej płatnych godzin. Jego partnerka jest w ciąży, są w ciężkiej sytuacji finansowej.

- Dowiedział się pan tego w ciągu kilku minut?

- Nie wyciągnąłem pani nazwiska na chybił trafił z kapelusza - odparł ostro.

Przedziwne, że w takich okolicznościach wciąż musiał ją przekonywać.

- Jaka to ma być oprawa?

- To pani jest projektantką.

- Pytałam - westchnęła ciężko - czy ma to być wisior? Brosza? Jakiego typu? Nie widziałam żadnego sprzętu do cięcia.

Wyprostował się gwałtownie.

- Nie dotknie pani tego klejnotu niczym oprócz własnych palców!

Przewróciła oczami.

- Oczywiście, że nie, ale mogę potrzebować innych kamieni. - Popatrzyła na niego podejrzliwie. - Dostarczy pan dodatki? Platynę, kamienie, wszystko co potrzebne?

- Jedynym warunkiem jest pozostawienie diamentu w całości. Poza tym ma pani wolną rękę. Muszę zaaprobować model i wtedy poznamy listę koniecznych materiałów.

- To może zająć całe tygodnie...

- Ma pani trzy, choć im szybciej, tym lepiej. Zakwaterowanie pani odpowiada?

Skinęła głową.

- Wyżywienie też zapewniam. Wszystko potrzebne do wykonania pracy jest tutaj. Pani ma tylko przywołać swój talent i pracować.

- Dla kogo to jest?

- Dla przyjaciela - odparł krótko. - Bardzo specjalnego.

Dani potaknęła. Prawie słyszał trybiki obracające się w jej głowie. Miała nie wiedzieć, kto zamówił biżuterię. Niech myśli, że chodzi o przyjaciółkę.

- Czyli umowa zawarta?

Prychnęła i popatrzyła na diament, jakby szukając w nim otuchy. Zamknął powoli pokrywę.

- Chcę dostać połowę zapłaty z góry - powiedziała - i dołoży się pan do pensji Steve'a.

- Bardzo Blackstone'owskie. - Jej powiązania rodzinne były dla niego główną przeszkodą w całej sprawie.

Quinn starannie omijał wszystkich związanych z tą rodziną, jednak sytuacja była na tyle delikatna, że z niechęcią sam się podjął negocjacji.

- Im szybciej się pani za to weźmie, tym szybciej rozejdziemy się każde w swoją stronę. - Zatrzasnął sejf. - Zabiorę panią do domu, żeby się pani mogła spakować i załatwić niezbędne sprawy.

Kiedy odwrócił się do niej, stała z zamkniętymi oczami i odchyłoną do tyłu głową, masując sobie bok szyi. Poczł falę pożądania, tak silną, że aż stanął w pół kroku. Tuż za nią znajdowało się wielkie łóżko, budząc nader sugestywne myśli.

Otworła gwałtownie oczy, trafiając prosto w jego spojrzenie.

- Nie trzeba. Mieszkam o dwie minuty stąd.

- Podwiozę panią - powiedział stanowczo, pragnąc jak najszybciej wyprowadzić ją ze swojej sypialni.

Kiedy się pakowała i organizowała wszystko co trzeba na czas swojej nieobecności, Quinn przechadzał się po jej salonie. Lubił wygodę, a klimat północnego Queensland stanowczo mu się nie podobał. Na szczęście, w przeciwieństwie do małego mieszkańca Dani, jego dom przy plaży wyposażono w znakomitą klimatyzację. Kiepsko widział perspektywy nianczenia rozpieszczonej dziewczyny o artystycznym temperamentem i zbyt wysokim mniemaniu o własnym talencie, przy jednoczesnym oblewaniu się potem w tu-tejszym dusznym, wilgotnym upale.

Zrobiło mu się jeszcze goręcej, gdy później tego popołudnia, po rozpakowaniu się w przydzielonym jej pokoju, nowa mieszkanka poszła popływać. Okno gabinetu Quinna zapewniało widok na cały basen. Zapomniał o pracy i stał przy szybie, obserwując długonogą piękność otoczoną burzą płomiennych włosów. Miała na sobie długie szorty i za dużą koszulkę z krótkim rękawem; bardzo skromny strój - dopóki się nie przemoczył. Quinn przykręcił klimatyzację o kilka stopni i rozpiął górny guzik koszuli.

Po raz pierwszy od kilku lat pożądał kogoś tak intensywnie. Nigdy nie był mni-chem, ale wolał starsze, bardziej wyrafinowane i niezależne finansowo kobiety. Danielle Hammond wyglądała na dwadzieścia kilka lat i niewątpliwie stała za nią fortuna Blackstone'ów, żyli jednak jak w odległych galaktykach.

Upokarzające było stać tak przy oknie, śliniąc się na widok mokrego materiału, klejącego się uroczo do pięknego biustu, i wody spływającej po zgrabnych, lekko opalonych nogach.



Wrócił do biurka. To nie wakacje. Następna aukcja słynnych obrazów miała się odbyć już za parę dni. Frustrowała go konieczność siedzenia tutaj, gdy czekała go tak ważna sprawa. Dysponował jednak przynajmniej odpowiednim kontaktem, by dla jednego z najważniejszych swoich klientów sprawdzić bardzo specjalny przedmiot tej aukcji.

Skupił się w końcu na pracy. Siedział przy biurku aż do chwili, gdy w porze obiadowej przerwała mu Danielle. Była gotowa wziąć się do roboty i chciała by przyniósł diament do pracowni.

Quinn ustawił go na blacie i przyglądał się, jak obchodziła go dookoła, cyfrowym aparatem robiąc zdjęcie za zdjęciem.

Jego uwagę całkowicie zaprzętnęło jej skupienie, nie mówiąc już o gibkim ciele i materiale interesująco napinającym się przy każdym ruchu na jej pośladkach i udach. Zupełnie go zaskoczyła, prostując się nagle i patrząc na niego, jakby nieco kpiąco.

- Jaka ona jest?

- Nie rozumiem?

- Pańska przyjaciółka. Ta, dla której jest ten diament.

- Jaka?

Uniosła na chwilę wzrok ku niebu.

- Wzrost, sylwetka. Nie chcę zaprojektować czegoś zbyt delikatnego dla wysokiej, mocno zbudowanej dziewczyny. Czy też odwrotnie.

Quinn zawahał się. Całkiem rozsądne żądanie. Dziś miała na sobie luźne, letnie spodnie o nieokreślonej barwie. Fioletowa bluzka podkreślała jej sylwetkę, według niego będącą dziełem sztuki. Szyję zdobiły zielone jak limonka korale.

- Około metra siedemdziesięciu pięciu wzrostu. - Wzruszył ramionami. - Szczupła, lecz wysportowana.

Dani sprawdzała zdjęcia w aparacie. Quinn z zaskoczeniem zauważył jej krótkie paznokcie, nieco nierówne, jakby obgryzione.

- Jasna czy ciemna karnacja? - spytała nieuważnie.

- Lekko opalona - odparł. - Piegi.

- Dobrze. Włosy? - Kiedy nie odpowiedział natychmiast, opuściła aparat i spojrzała na niego ze zniecierpliwioną miną. - Jakiego koloru ma włosy?

Przyszło mu do głowy kilka odpowiedzi, lecz kiedy się zastanawiał, jak najlepiej opisać jej bujne loki, wyraz jej twarzy zmienił się w sarkastyczny.

- Jest pan mało spostrzegawczy, panie Everard. Może ma pan zdjęcie?

- Rude. Ciemnorude. - Kiedy ona się w końcu połapie? - Falujące. Poza tym jest dość zmienna w stylu - kontynuował. - Niewątpliwie niekonwencjonalna. Niektórzy zaliczyliby ją do bohemy, ale to co innego... Jest niepodobna do nikogo innego.

Czysta prawda. Jej sposób wykorzystywania barw, łamiący wszelkie zasady, powinien razić kogoś tak konserwatywnego jak on, a jednak był nim oczarowany.

- Ma pan dobry gust, jeżeli chodzi o kobiety, panie Everard - skomentowała, odkładając aparat. - W takim razie, dla takiej damy musi to być jakieś współczesne cacuszko.

- Cokolwiek pani postanowi. - Quinn odepchnął się od framugi, usiłując otrząsnąć się z szoku wywołanego terminologią użytą wobec jego skarbu.

Ku swemu zaskoczeniu jednak, idąc korytarzem, uśmiechał się, zadowolony i z siebie, i z niej. Dani Hammond pokazała pazur. Była sprytna - niemal jak ulicznik - a na tym Quinn dobrze się znał.

Ale skąd się to w niej wzięło, skoro wychowała się w luksusie?

Przez kilka następnych dni rzadko widywał Danielle. Zatopiła się w pracy. Siedziała nad nią do nocy, a rano późno wstawała. Przed południem prosiła o dostarczenie kamienia do warsztatu. Odnosił go do sejfów, udając się na spoczynek. Pilnował, by lodówka była pełna. Większość przygotowywanego dla niej jedzenia szła do śmieci, bo zbyt była zaaferowana, by czuć głód. Był pod wrażeniem jej skupienia na pracy.

Trzeciego wieczoru dołączyła do niego przy kolacji dostarczonej przez jedną z zaskakująco dobrych, miejscowych restauracji.

- Dlaczego ja? - spytała przy kawie. - Musi pan znać ze dwudziestu światowej sławy projektantów, którzy oddaliby prawą dłoń, byle się wkraść w pańskie łaski.

- Pani by tego nie zrobiła.

- Nie obawia się pan, że zepsuję pański bezcenny diament z zemsty za szantaż?

- Musiałbym wtedy zniszczyć pani reputację.

- A już pan tego nie zrobił? - Pokazała gestem cudzysłów. - Panna Hammond ma niezły talent, ale marnuje go, pracując dla wielkich sieci...

Quinn był rozbawiony. Usłyszał cytat ze swojego artykułu sprzed około roku w „Diamond World Monthly”. Miała czelność odgryźć się w następnym numerze. Zareagował, pisząc, że jest ona „prawie jak niedzielny sprzedawca w zapadłej dziurze, spełniająca zachcianki przygodnych turystów”.

- Mała skaza, która najwyraźniej praktycznie pani nie zaszkodziła. Choć trudno zgadnąć, dlaczego zaszła się pani tutaj, na tym pustkowiu.

- Kolejny snobistyczny wielbiciel Sydney - westchnęła. - Lubię tropiki.

- Co tu lubić? Plażę, przy której nawet popływać nie można ze względu na parzące meduzy...

- Tylko przez kilka miesięcy...

- Nieznośnie gorący i wilgotny klimat...

- Lubię go prawdopodobnie z tych samych powodów, dla których pan go nie znosi. Czyli lubiła parne, gorące noce. Zmusił się do stłumienia nasuwających się skojarzeń.

- Owady i węże...

- Te są i w Sydney - odparła.

- W mojej okolicy nie.

- Nie ośmieliłyby się - mruknęła pod nosem.

Zignorował to.

- Żadnych porządnych sklepów. Czy w tym mieście jest jakieś nocne życie, czy też wszystko zamiera o wpół do szóstej?

- Proszę mi przypomnieć, bym zabrała pana na wyścigi ropuch - powiedziała i uśmiechnęła się ironicznie. - Może i żyje się tu na luzie, jest jednak dość wyrafinowanego czaru niewielkiego miasta.

- Oboje wiemy, że lubi się pani obracać wśród bogatych i sławnych. Tutaj te możliwości są ograniczone, Danielle. Skąd więc taka decyzja?

- Dobrze mi tu i proszę nie nazywać mnie Danielle.

- I to „dobrze” jest wystarczające?

- Na dzisiaj. - Upiła łyk kawy. - Proszę mi opowiedzieć o panu i Howardzie.

- Pani nie wie? - zdumiał się.

- W tym czasie byłam na studiach. Wiem tylko, że wściekał się, gdy wspomiano pańskie nazwisko.

W sumie nie dziwił się. W swoim czasie Howard Blackstone użył wszelkich swoich wpływów, by zemścić się na handlarzu, który znalazł się po niewłaściwej stronie.

- Dopiero zaczynałem - powiedział. Laura, jego żona, była chora. Wszystko diabli brali. - Howard chciał nominacji na przedstawiciela Australii w nowym World Association of Diamonds. Wszyscy w końcu zdali sobie sprawę, że nasz biznes, handel diamentami, finansuje wojny w Afryce.

- Diamenty z konfliktów. - Dani skinęła głową. - Cóż jednak dobrego mogło zrobić międzynarodowe stowarzyszenie przeciw jednej czy dwóm gigantycznym korporacjom kontrolującym kopalnie?

- Stowarzyszenie na pewno zwiększyło publiczną świadomość. Nawet z Ameryki, tego bastionu konsumpcjonizmu, dochodzą głosy, że duża część klientów żąda certyfikatów poświadczających, że kupowane przez nich diamenty nie są związane z żadną wojną.

- Certyfikat jest tylko tak wiarygodny jak osoba go wystawiająca - prychnęła, po raz kolejny budząc w nim niechętny podziw dla jej oceny bardzo podejrzanej strefy. - A wracając do waśni?

- Blackstone mnie urabiał. Chciał dostać mój głos. Mógł odnieść wrażenie, że mój głos jest pewny, ale w końcu zwrócił się do mnie znajomy makler i poparłem jego. Spodziewałem się, że Howard przejdzie, z moim poparciem czy bez niego.

- Ale tak się nie stało - dokończyła Dani. - Lubi... lubił, by wszystko szło po jego myśli.

- Przegrał nominację jednym głosem i potraktował to o wiele bardziej osobiście, niż powinien.

- Niech zgadnę. Zniknął pan z listy kartek świątecznych.

Wściekłość Howarda niemal wykończyła go finansowo.

- Odciął mnie od kopalni Blackstone'ów. Musiałem się poważnie zapożyczyć, żeby zdobyć niezbędne mi kamienie za granicą.

Gdyby nie kilku wysoko postawionych przyjaciół, zwłaszcza sir John Knowles, właściciel najlepszych diamentów, młody biznes Quinna by nie przetrwał Dani gwizdnęła.

- To musiało zboleć. Makler bez diamentów.

- Postawiło mnie to w bardzo złej sytuacji - przyznał.

- A jednak najwyraźniej nie miało dalekosiężnych skutków.

- Nie dzięki Blackstone'om.

- Zwracał się pan do Rica lub Ryana? Teraz mogliby być skłonni do rezygnacji z embarga.

Teraz, kiedy Howard zmarł, pomyślał sardonicznie Quinn. Były szef Blackstone Diamonds traktował waśń osobiście.

- Dziękuję, ale poradzę sobie bez drogocennych kopalni Blackstone'ów.

- A wybaczenie i puszczenie w niepamięć? Wróg nie żyje.

Nie mógł zapomnieć. Afronty w gazetach. Kolejne zamykające się przed nim drzwi. Sieci banków starające się go pogrążyć.

- Początki w tej branży są wystarczająco trudne nawet jeśli się nie ma za wroga najbardziej wpływowego w niej człowieka.

W dodatku gdy musiał poradzić sobie ze śmiertelną chorobą żony. Tu właśnie mściwość Howarda dotknęła go najbardziej. Nigdy mu nie wybaczy wyrazu oczu Laury, gdy nie był w stanie zapewnić jej tego, czego pragnęła najbardziej w świecie.

- Howard Blackstone był mściwym, manipulującym ludźmi łajdakiem.

Dani skamieniała. Przez chwilę poczuł współczucie dla niej. Czy to możliwe, żeby ktoś żałował odejścia człowieka, którego nienawidził najbardziej na świecie?

- O mściwości wie pan wszystko, nieprawdaż? - rzuciła twardo. - Czyż nie o to chodziło w umniejszaniu mojej wartości przy okazji nagród? Albo w krytykowaniu mnie w licznych czasopismach? - Dopiła kawę i gwałtownie odstawiła filiżankę. - Może wcale tak bardzo się z Howardem nie różniliście.

- Może po prostu pani nie jest aż tak dobra - zasugerował, patrząc jej w oczy.

- Skoro tak - warknęła - to dlaczego tu jestem?

- Nie wiem, Danielle - podkreślił jej imię. - Czy nie masz pracy do wykonania?

Rzuciła mu mordercze spojrzenie. W świetle świec jej oczy lśniły jak bursztyny.

- Na szczęście dom jest obszerny, panie Everard. Może byśmy tak więc zachowali odpowiedni dystans?

Wstała i wyszła.

## ROZDZIAŁ TRZECI

- Nie mam nic przeciwko temu!

Zatrzasnęła drzwi i pomaszerowała schodami na górę, mruczając pod nosem.

Fakt, Howard Blackstone aniołem nie był. Jego szorstki sposób bycia razem z ogromnym majątkiem przyciągały wrogów jak magnes, ale umiał zapewnić i jej, i jej matce godziwe życie. Sonya i Dani Hammond były dwiema z bardzo nielicznej grupy osób, które szczerze go oplakiwały.

Weszła do pracowni, ponownie trzaskając drzwiami. Niech go szlag!

Sonya wprowadziła się do Howarda i swojej siostry Ursuli, mając dwanaście lat. Po porwaniu pierwородnego syna Ursula wpadła w depresję i odebrała sobie życie. Howard był niepokieszony, Sonya została więc, by zaopiekować się swoimi kuzynami, Kimberly i Ryanem. Gdy zaszła w ciążę, Howard przekonał ją, by nie wyprowadzała się i wychowała dziecko, mając do dyspozycji wszystko, co miały jego własne dzieci. Sfinansował edukację Dani, a z upływem lat utworzyła się między nimi całkiem silna więź uczuciowa. Czasami podejrzewała, że wołał ją od własnych dzieci. Matka temu zaprzeczała.

- Bardzo mocno kocha Kim i Ryana. Lubi twoje towarzystwo, bo co do twojej przyszłości ma większe nadzieje niż oczekiwania.

Ludzie nie znali prawdziwego Howarda, pomyślała Dani wojowniczo, zdzierając ze szkicownika ostatni, nieudany projekt.

Nie umawiając się, następnego dnia unikali się z Quinnem. Potrzebowała pomysłu na projekt, ale za każdym razem, gdy spojrzała na diament, przychodziło jej do głowy coś innego. Trzymała kamień pod światło, podziwiając jego czystość, głębię i barwne ognie.



W jej zawodzie krążyło cyniczne powiedzonko: oszlifowany diament jest tylko paskudnie zniszczony. Żałowała, że nie widziała go przed obróbką.

Na podłodze leżały dziesiątki pogniecionych stron. W końcu jakoś opanowała początkową lawinę pomysłów, uzyskując kilka rysunków dających jakie takie pojęcie, jak może wyglądać oprawa, nad którą już mogłaby zacząć pracować. Pewność miała tylko co do tego, że powinna być platynowa, bo ten metal perfekcyjnie podkreślał subtelne właściwości kamienia. Chciała, by to diament grał główną rolę w klejnocie, nie oprawa.

Mijały godziny, pełne nowych pomysłów, w większości niemal natychmiast zapominanych. Wykorzystywała dostarczone przez Quinna oprogramowanie, ale wciąż nie mogła znaleźć końcowego rozwiązania.

Quinn wszedł do pracowni z pełnym talerzem w jednej ręce oraz sztućcami i winem w drugiej. Przyglądał jej się przez chwilę sceptycznie, po czym odwrócił się, by postawić wszystko na blacie. Nagle poczuł niepokój. Zastanowiła się, jak wyglądają jej włosy. Brała dziś prysznic czy nie?

Przyglądała mu się, myśląc, jak bardzo jest pociągający. Jego rolex błysnął, gdy pochylił się, by włączyć lampę.

- Co pani robi? - zapytał.

- Myślę. A jak to wygląda?

- Proszę zjeść.

- Która godzina? - Podniosła głowę, by spojrzeć w okno. Ciemność. Kiedy minął dzień?

- Ósma. - Skrzywił się, widząc nietknięte kanapki, które przyniósł na lunch.

Z diamentem w dłoni wstała, przyciągana wonią jedzenia. Ściskanie w żołądku uświadomiło jej, jak mało dziś zjadła.

- Jak idzie?

Wino było delikatne. Otworzyła usta, by odpowiedzieć, lecz zamiast tego ziewnęła potężnie.

- ...kej...

Wcale nie, dostawała już szału. Natchnienie nigdy nie przychodziło łatwo. Zdarzało jej się spędzić godziny a nawet dni nad jakimś pomysłem i porzucić go z powodu iry-

tującego wrażenia, że gdzieś już coś takiego widziała. Oryginalność była bezwzględnym wymogiem.

- Do której w nocy wczoraj pani pracowała?

Wzruszyła ramionami, wciąż jeszcze rozeźlona ich starciem z wczorajszego wieczoru.

- Spanie i pożywanie się od czasu do czasu będzie tolerowane.

- Dzięki.

Wino zaostrzyło jej zmysły i apetyt. Pociągnęła z przyjemnością nosem.

- Czyżby był jakiś problem z projektem oprawy?

- Nie. - Dani wzięła widelec i nabiła nań ciemnozieloną różyczkę brokułu. - Jeszcze nie sprecyzowałam pomysłu, ale nie ma obawy, zrobię to.

- Czy przydał się program graficzny, który dostarczyłem?

Dani potrząsnęła głową i odcięła porcję delikatnej jagnięciny oblanej sosem smakującym mocno papryką. Oprogramowanie świetnie nadaje się do nauki, ale większość znanych jej projektantów wolała pracować ręcznie.

Podszedł do biurka i położył dłoń na jej portfolio.

- Mogę?

Dani zamarła w pół kęsa. Wciąż czuła gorycz po jego komentarzach na temat jej pracy. A jednak znalazła się tutaj, zakwaterowana w luksusie i karmiona po królewsku, a na koniec czekała ją wypłata kolosalnej sumy pieniędzy. I to wszystko za przywilej pracy nad niewiarygodnym diamentem.

Wzruszyła ramionami. Cokolwiek powie na temat jej prac i tak już niezmiernie ją dowartościował samym zatrudnieniem. Quinn Everard, wielki australijski ekspert, chciał, by to ona dla niego projektowała. Nie Cartier, nie JAR<sup>1</sup>. Tylko Dani Hammond.

<sup>1</sup> JAR, czyli Joel Arthur Rosenthal, jeden z najbardziej znanych projektantów biżuterii dwudziestego wieku, (przyp. tłum.).

Quinn włączył lampę na biurku i stojąc z jedną ręką w kieszeni, powoli przeglądał strony w jej dużym skoroszycie. Każdej przyglądał się uważnie, tylko rzęsy zdradzały poruszenia jego oczu. Przyglądała mu się ukradkiem.

Miał mocną sylwetkę, na skroniach widniały wyraźne ślady siwizny. Trochę po trzydziestce, uznała plus solidna porcja ćwiczeń dla utrzymania formy Odwróciła wzrok, zanim ją przyłapał, nagle czując falę gorąca.

- Bardzo dobre - rzekł znienacka.

- O, dzięki.

- Jest pani dużo lepsza. Dojrzała.

Lepsza? Dojrzała? Nie przesadzaj z komplementami, szanowny panie.

- Dziękuję.

- Może - ciągnął - do konkursu wybrała pani nie właściwy projekt.

- Tylko pan tak uważał.

Nieprawda, sama się tego obawiała. Do Young Designer Awards zgłosiła wysadzaną różowymi i białymi diamentami Blackstone'ów szeroką bransoletkę która miała uchwycić rozmach interioru i pokazać jego bogactwa. Choć była piękna i każdy, kto ją zobaczył, miał coś do powiedzenia, nigdy nie była jej pewna, nigdy nie czuła, że naprawdę zawarła w niej to o co jej chodziło.

Quinn Everard, sędzia, jako jedyny dostrzegł co więcej niż powierzchowne piękno i uznał ją za niespełniającą wymogi.

- O właśnie, to...

Cofnął się o kilka stron, do miejsca założonego kciukiem. Wstała i podeszła bliżej. Poczowała jego męski zapach. Popatrzyła na stronę.

- Keishi!<sup>2</sup>

To był jeden z jej pierwszych projektów. Wciąż należał do ulubionych. Dziewiętnastomilimetrowe perły rzeczne w kolorze szampana, nanizane na białe złoto, przeplatane złotymi różyczkami z drobnymi, okrągłymi szafirkami w środku.

<sup>2</sup> Keishi to bardzo znana w kręgach jubilerskich firma oferująca perły rzeczne, (przyp. tłum.).

- To by dało pani nagrodę za samą kolorystykę i blask.

- Chciałam to zgłosić. Powiedziano mi, że jest za tanie.

Quinn popatrzył jej prosto w oczy i wypełnił ją żar. Choćby chciała, nie mogła odwrócić wzroku.

- Proszę zaufać instynktom - rzekł miękko.

Gdyby tylko wiedział, co w tej chwili instynkty jej podpowiadały! Był tuż obok. Jej ciało napięło się, bezwiednie pochylając się ku niemu. Po karku, pod niedbale związanymi włosami, którymi zajmowała się ostatni raz dziesięć godzin temu, przeszły jej dreszcze...

Dziesięć godzin...?! Cofnęła się gwałtownie, przerażona, jak nieporządnie musi wyglądać. Przypomniała sobie, że dziś nie brała prysznicza...

- Chy... chyba już czas do łóżka. - Aż jęknęła w duchu. Za długi jęzor!

- Dopiero ósma.

- To był długi dzień.

Quinn skinął głową. Opuszczając na chwilę wzrok, po drodze zatrzymał się na dłużej. Wiedziała, że biust zdradził jej podniecenie przez cienką koszulkę, czuła to wyraźnie.

- Może pan zabrać diament do łóżka - powiedziała słabo i nabrała strasznej ochoty, by walnąć się mocno w głowę. Quinnowi drgnęły kąciki ust. Jej rozgorzały policzki. Niewątpliwie jego „przyjaciółka” jest o wiele bardziej wyrafinowana. Każdy lok na właściwym miejscu, każde słowo odpowiednie.

- Chyba pani gorąco - powiedział z wyraźną uciechą.

- Mógłby pan sprawdzić tutaj klimatyzację - odchrząknęła. - Te światła naprawdę solidnie grzeją.

- Nieprawdaż?

Już dość robienia z siebie idiotki.

- Dobranoc - rzuciła i uciekła, nie czekając na odpowiedź.

Quinn zapatrzył się na jasne światło pod sufitem.

- Opanuj się, chłopie - mruknął, zniesmaczony swoją słabością.

Czy zauważyła jego podniecenie? On niewątpliwie dostrzegł jej! Czyli pomimo ostrych reakcji, pani jest zainteresowana. To nadawało nowy wymiar całej sytuacji. Nawet jej nie dotknął, ale instynktownie wiedział, że pasują do siebie seksualnie.

Ciekawe... Opuścił wzrok. Pusty talerz przypominał mu, po co tu w ogóle przyszedł. Miał dość tylko własnego towarzystwa, samotnych posiłków - co było dziwne, bo tak dotychczas żył. W dodatku podobało mu się to.

Lecz jego apartament w Sydney był idealnie uporządkowany i spokojny. Dla niego kanapka z serem zjedzona w ciszy przed olbrzymim oknem, dającym widok na najpiękniejsze miasto na świecie, dostarczała więcej radości niż najwspanialszy obiad za dwieście dolarów.

Przypuszczał, że rzecz tkwiła w powrocie do chaotycznych posiłków w domu, do czasów dzieciństwa. Wychował się w rodzinie stworzonej przez kochających, lecz bardzo ekscentrycznych rodziców, którzy swój stary, wielki dom w Sydney wypełniali po brzegi trudnymi sierotami. Będąc chłopcem, dzielił się wszystkim: czasem i miłością rodziców, pokojem, zabawkami, nawet żoną, która wprowadziła się tu, gdy byli na studiach. Uczyła się, by zostać pracownikiem socjalnym, i uwielbiała pomagać przy dzieciach do dnia, gdy umarła na guza mózgu, w wieku dwudziestu sześciu lat.

Teraz już prawie niczym się nie dzielił, ale wciąż mocno kochał rodziców, choć wolałby, żeby przestali się dopytywać, kiedy w końcu da im wnuki. Od czasu, jak ukończył dwadzieścia lat, odpowiadał na to tak samo: „Dorastając, nauczyłem się, że na świecie jest za dużo niechcianych dzieci”.

Podniósł kasetkę z diamentem i zaniósł do sejfu, potem zabrał jej pusty talerz i resztki jedzenia. Odezwała się komórka. Matt Hammond dzwonił z Nowej Zelandii.

- Możemy się spotkać w przyszłym tygodniu? - spytał. - Między innymi chciałbym ci podziękować za sprowadzenie do domu różowych diamentów.

W zeszłym miesiącu Quinn potwierdził autentyczność czterech takich kamieni dla byłej szwagierki Matta, supermodelki z Melbourne, Briany Davenport. Znalazła je w sejfie po śmierci siostry, Marisy. Quinn był zdumiony, gdy odkrył, że pochodziły ze słynnego naszyjnika - Róży Blackstone'ów - ukradzionego Howardowi ponad trzydzieści lat temu. Niezwłocznie powiedział Brianie, że muszą zostać zwrócone prawowitemu właścicielowi. Na jej polecenie dostarczył kamienie prawnikom zarządzającym majątkiem Blackstone'ów.

Po długiej naradzie prawnicy uznali, że naszyjnik Róża Blackstone'ów należy do kolekcji biżuterii Howarda. Ponieważ Marisa nie zmieniła swojego testamentu przed katastrofą, różowe diamenty należały teraz do jej małżonka, Matta Hammonda.

- Mam kilkutygodniowe wakacje w Port Douglas - powiedział Quinn.

- Żartujesz! Za kilka dni sam się tam pojawię. Będziemy się mogli spotkać, jeśli się zgodzisz.

Quinn był ciekaw, czy Matt przyjeżdżał do Port Douglas, by zobaczyć się z Dani. Byli kuzynami, ale z tego co słyszał, rozdźwięk pomiędzy rodzinami Blackstone'ów i Hammondów obejmował i ją, i jej matkę.

- W międzyczasie - ciągnął Matt - chciałbym rozpuścić wieści. Bez żadnych pytań zapłacę bardzo dużo za piąty diament z Różą Blackstone'ów, ten duży.

Główny kamień starego naszyjnika miał gruszkowaty kształt i ważył dziewięć i siedem dziesiątych karata. Wyjściowo, przed obróbką, Serce Interioru miało nieco ponad sto karatów. W szlifie kamienie tracą mnóstwo wagi, zwłaszcza jeśli z jednego kryształu jubiler chce uzyskać kilka klejnotów. Niektórzy starali się zachować jak najwięcej masy, co niekoniecznie szło w parze z ceną, bo ognie zależały od wybranego kształtu.

W tym przypadku szlifierz wykonał genialną pracę, uzyskując w brylantach trzydzieści osiem karatów. Wszystko to plus nazwa i legenda zapewniły klejnotom bardzo wysoką cenę. Ostatni, wyraźnie różowy brylant, który Quinn sobie przypominał z aukcji przed kilku laty - dwudziestokaratowy, gruszkowatego kształtu - został sprzedany za sześć milionów dolarów. Diamenty z Różą Blackstone'ów uzyskałyby cenę co najmniej pół miliona za karat, a jeszcze więcej sprzedawane w komplecie.

Choć w czasach, gdy je oszlifowano, nie znano jeszcze metod identyfikacji laserowej, ten, kto ukradł Różę Blackstone'ów, musiał sprzedać wielki brylant z naszyjnika na czarnym rynku. W przeciwnym razie klejnot nie zniknąłby bez śladu. Zawsze można było znaleźć kogoś gotowego sprzedać informację o kolekcjonerach kamieni mających nieco zbrukaną reputację. Różowy diament tej wielkości wywołałby plotki, gdziekolwiek by się pojawił.

Przerwał połączenie, myśląc, że ostatnio całe jego życie - tak osobiste, jak i zawodowe - kręci się wokół rodzin Blackstone'ów i Hammondów. Najpierw Matt i jego różo-



we brylanty, teraz to jego wymuszone mieszkanie z Danielle Hammond. Aż zadygotał na wspomnienie pożądania w jej oczach parę minut temu, namiętności w jej głosie...

Zdobędę Dani Hammond, postanowił. Pomoże to przetrwać dni w tej saunie na północy przed powrotem do cywilizacji.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

Tuż po szóstej rano Dani poszła obejrzeć wschód słońca nad plażą. Zsunęła sandały i ruszyła sprawdzić, jaka jest woda.

Fizyczna reakcja na Quinna, jakiej doświadczyła w warsztacie, wirowała jej w głowie przez całą noc. Ten mężczyzna już miał kobietę, kogoś specjalnego, jeśli sądzić po wartości podarunku, który dla niej przygotowywał. Jak miała przez następne dwa czy trzy tygodnie egzystować z nim pod jednym dachem, nie ulegając jego czarowi?

Wiedziała jak. Pamiętając Nicka... pamiętając upokorzenie.

Chłodna woda omyła jej stopy, przypominając, że zima się zbliża. Przywołała na myśl mroźny dzień sprzed dwóch lat. Nick prawie ją wykończył.

Powinna mieć więcej oleju w głowie, nawet wtedy. Dwudziestopięciolatka to już nie głupawa nastolatka. Nick ją uwodził, zapraszał na kolacje i zdobył w rekordowo krótkim czasie. Obiecywał jej małżeństwo, miłość po wieczne czasy. A ona ufała mu, mimo że całe życie spędziła w akwarium znajdującym się pod bezustanną obserwacją tabloidów.

Ufała do dnia, w którym wyszła z domu na przymiarce sukni ślubnej i w padającym deszczu zastała dziesięcioro „dziennikarzy” czyhających przed bramą. Do dzisiaj Dani nie znosiła wielkich, czarnych parasoli, bo przypominały jej padlinożerców czekających na czyjąś śmierć.

Pismacy radośnie opowiedzieli jej szczegóły. Kiedy ona, pełna szczęścia, siedziała w domu, zajęta planowaniem wesela, Nick, w zaułku za nocnym klubem, zabawiał się z dobrze znaną aktoreczką z oper mydlanych. Zdjęcia miały charakter nader pornograficzny. W czasie konfrontacji ten podpity szczer bełkotliwie oskarżył Dani o błędną in-

terpretację jej pozycji w rodzinie Blackstone'ów. W końcu do niej dotarło, mimo zacieklego oporu, że nie jest dziedziczką, nie ma ani grosza i pochodzi z nieprawego łoża.

Howard ją uratował, tak jak wiele lat temu jej matkę. Dani pragnęła tylko zniknąć. Kilka miesięcy wędrówki po Azji z plecakiem nieco złagodziło ból, ale u matki spowodowało ogromny niepokój. Zmęczona bezustanną obserwacją przez media odmówiła powrotu do Sydney i Howard zgodził się pożyczyć jej pieniądze na otwarcie interesu tutaj, w Port Douglas, gdzie nikt jej nie znał.

Świt był przepiękny, przypomniał jej, dlaczego tak lubi to miejsce. Nabrała pewności, że musi się przeciwstawić Quinnowi, bo jeśli tego nie zrobi, czeka ją ból serca o wiele gorszy niż po Nicku. I to cudowne miejsce straciłoby dla niej urok już na zawsze.

Zawróciła, czując się silniejsza, zdecydowana skończyć tę pracę jak najszybciej i odsunąć pokusę. Tylko że jej serce mocniej zabiło, gdy zobaczyła podbiegającego do niej mężczyznę w niebieskich szortach i czarnej koszulce bez rękawów. Zwolnił.

- Za gorąco na sen?

Dani zobaczyła sardoniczny wyraz jego ust i cała nadzieja, że zignoruje jej wczorajsza, co najmniej nieprzyzwoitą reakcję na niego, znikła jak zdmuchnięta. W dodatku chciał, by wiedziała, że on wie.

- Miłego biegania - odparła najuprzejmiej, jak mogła, nie zatrzymując się w drodze do przejścia między drzewami. Tylko że Quinn truchtał w tył, zwrócony twarzą do niej.

- Czy wie pani, że Matt Hammond przyjeżdża?

- Nie.

Nigdy nie spotkała Matta osobiście. W lutym był na pogrzebie Howarda, ale trzymał się z daleka od rodziny. Kilkakrotnie spotkała brata Matta, Jarroda, i polubiła go bardzo. Jednak gorycz Matta związana z obecnością Marisy w pechowym samolocie i z włączeniem jej do testamentu diamentowego magnata była zrozumiała. Zwłaszcza gdy spora część brukowej prasy koncentrowała się na ojcostwie małego Blake'a, jego syna.

- Skąd pan to wie?

- Zadzwoił wczoraj wieczorem.

- Do pana?

- Obaj działaliśmy w handlu kamieniami. Czyli to nic dziwnego, nieprawdaż? Kiedy powiedziałem mu, gdzie jestem, oznajmił, że przyjeżdża. Założyłem, że skoro to pani kuzyn, chce złożyć pani wizytę.

- W takim celu by się tu nie pojawił. - Po co kuzyn miałby jej szukać? I co wspólnego miał z Quinnem? - Jakie interesy robi pan z Mattem? Czy ma to związek z diamentami Róży Blackstone'ów?

- A co pani wie o tych kamieniach?

- Że miesiąc temu tajemniczo pojawiły się u prawników Howarda, którzy nie mieli innego wyboru jak tylko odesłać je do Hammondów. - Nagle wszystko stało się jasne. - To pan je znalazł i odesłał.

- Nie znalazłem ich, tylko je dostałem. Zwyczajne poświadczenie.

- Od kogo?

- Będzie musiała pani zapytać Matta, ale bezapelacyjnie są jego własnością.

- Już mówiłam, że go nie znam. Był na pogrzebie, ale nie chciał mieć z nami nic wspólnego.

- Powinna pani lepiej dobierać sobie znajomych. Czy na świecie jest choć jedna osoba, której Howard Blackstone nie skrzywdził?

- Waśń nie wynika wyłącznie z jego winy.

- Proszę mi o tym opowiedzieć.

- Wszyscy to wiedzą, pan na pewno też.

- Wiem tylko tyle, ile prasa zdradza. - Quinn usiadł na pniu. - Chciałbym usłyszeć informacje od osoby bezpośrednio zaangażowanej.

Usiadła obok, cała spięta. Wyraźnie się spocił. Dlaczego to jej nie odstręczało, tylko przyspieszało jej puls?

Od czasu śmierci Howarda konflikt pomiędzy Blackstone'ami i Hammondami wciąż komentowano w prasie. Była tym zmęczona.

- Jeb, mój dziadek, i Howard byli przyjaciółmi, a od czasu poślubienia przez Howarda mojej ciotki Ursuli także partnerami. Mama i brat Ursuli pozostali w Nowej Zelandii, by pilnować rodzinnego interesu. Kiedy Jeb zachorował, przepisał wszystkie swoje udziały w kopalniach na Howarda. Oczywiście Oliver przyjął to nie najlepiej.

Czysty eufemizm. Według Jarroda nawet po wylewie pięć lat temu starzec dostawał szału na każde wspomnienie o Howardzie. Szczególnie rozzłościło go, gdy Jeb podarował cioci Ursuli Serce Interioru, jego najszlachetniejsze znalezisko.

Wielki różowy diament wpisał się w kulturę Australii, ale tak samo jak wiele innych dużych kamieni był związany ze sporą liczbą nieszczęść.

- Howard pociął go i opracił w słynny naszyjnik, który nazwał Różą Blackstone'ów.

- Dodatkowo tylko rozdrażniając Hammondów - mruknął Quinn.

Skinęła głową. Oliver był rozwścieczony, że jego nazwisko zostało tak starannie usunięte z historii sławnego Serca Interioru.

- Lecz po porwaniu Jamesa, pierwородnego syna Howarda, ciocia Ursula wpadła w depresję. Żeby ją pocieszyć, na jej trzydzieste urodziny Howard wydał gigantyczne przyjęcie. Wszyscy tam byli, nawet premier. Skończyło się to jednak raczej ponuro.

- Chodzi o noc kradzieży naszyjnika - dokończył Quinn.

Niektórzy sądzili, że była to nieudana próba wymuszenia okupu. Na pewno Quinn podejrzewał, że Howard ukrył klejnot, by zgarnąć pieniądze z ubezpieczenia.

- Howard oskarżył Olivera i zaczęło się robić nieprzyjemnie. Z kolei Oliver potępił swoje siostry i oświadczył, że dla niego nie istnieją. Czyli, że dopóki ma pan cokolwiek wspólnego z Blackstone'ami...

- Pogroziła mu palcem.

- Przegapiła pani odrobinę - rzekł.

- Co? A, rzeczywiście, wie pan o biednej cioci Ursuli utopionej w basenie...

- ...po solidnym upiciu się.

- O tym się nie mówi - szepnęła dramatycznie.

- W zamieszaniu Howard oskarżył jeszcze Olivera o zorganizowanie porwania Jamesa.

Ten fakt prawdopodobnie nie był zbyt powszechnie znany. Na nieszczęście, tego oskarżenia Oliver nie potrafił wybaczyć, bo Jarrod i Matt byli adoptowani.

- Miły facet - skomentował ostro Quinn.

- Musi pan pamiętać, że stracił syna - odparła Dani. - Cokolwiek też słyszał pan o jego namiętności do kobiet, mama twierdzi, że naprawdę kochał ciocię Ursulę.

Quinn zdawał się nieporuszony. Cokolwiek zdarzyło się pomiędzy nim a Howardem, musiało być poważne. Westchnęła.

- Nie rozumiem. Matt ma wszelkie powody do irytacji, zwłaszcza po ostatnich miesiącach. Lecz ostatnia sprzeczka z Howardem miała miejsce lata temu. Ciekawe, dlaczego tak pan go nienawidzi, nawet po śmierci?

- Ciekawość pierwszym krokiem do piekła - odparł zimno.

Musiało w tym być coś więcej niż tylko głosowanie, pomyślała.

- Pańska wrogość do Howarda graniczy z obsesją.

- Czyżby? - Uniósł cynicznie brew.

- Jest zbyt osobista. Co on takiego zrobił? Odebrał panu kobietę?

Roześmiał się szeroko, zaskakując ją.

- Zawodowa zazdrość? - zgadywała. - Przejął interes pana życia?

- Howard Blackstone nigdy ze mną nie wygrał.

- A może na podstawie plotek doszedł pan do wniosku, że jest pan zaginionym dziedzicem Blackstone'ów? - zażartowała, zdając sobie sprawę jak niesmaczny to dowcip.

Howard zawsze wierzył, że pewnego dnia James, jego pierworodny, stanie w drzwiach. Nigdy nie przerwał poszukiwań i musiał uzyskać jakieś solidne dowody przed śmiercią, bo zmienił testament. Nowa wersja praktycznie wykluczała Kimberly, faworyzując Jamesa, jeśli zostanie odnaleziony w ciągu sześciu miesięcy po śmierci Howarda.

Oczywiście prasa była zachwycona tym nowym zwrotem w zmiennej sadze rodu. W ciągu kilku ostatnich miesięcy rozważano i odrzucono kilku kandydatów, w tym Jarroda Hammonda, brata Matta. Z pewnym uznaniem pomyślała, że Howard naprawdę umiał zmusić paparazzich do zgadywania.

Zupełnie tak samo jak Quinn zmusił ją do zgadywania, jak długo zdoła opierać się falom pożądania do niego... Zebrała błędzące myśli i wróciła do tematu.

- Podsumujmy, jest pan we właściwym wieku, po trzydziestce. Słyszałam też, że wychował się pan w rodzinie zastępczej. I co, poszedł pan do niego z tą teorią i został bezlitośnie wyśmiany?

Zastygł na moment, potem gwałtownie oparł dłoń po jednej jej stronie. Wstał, odwrócił się do niej i zbliżył twarz do jej twarzy tak blisko, że dokładnie widziała kielkujący zarost.

- Nic nie wiesz, Danielle - powiedział delikatnie choć w oczach lśniło mu niebezpieczne ostrzeżenie pomieszczone z pożądaniem. - Nie jestem zaginionym bratem Blackstone'ów - mruknął, zbliżając się jeszcze bardziej. - Bo gdybym był - ciągnął fonem, od którego przeszły ją dreszcze - nie zrobiłbym tego, co zaraz uczynię.

Wiedziała co. Mimowolnie wbiła paznokcie w pień. Patrzyła rozszerzonymi oczami, jak jego usta przekraczają punkt bez powrotu.

Gdyby stała, kolana ugięłyby się pod nią po pierwszym kontakcie. Całował ją mocno, dotykając tylko ust. Dotychczas całowała się właściwie z chłopcami, a Quinn pokazał jej, jak smakuje pieszczota prawdziwego mężczyzny.

Nagle uniósł głowę. Osunęła się na pień, walcząc o oddech. W głowie miała tylko jedną myśl: zrobiłam to. Popatrzył na nią oczami pełnymi napięcia.

- Czy to był pocałunek kuzyna, Danielle?

Próbowała się pozbierać, odzyskać choć trochę godności - może nawet zaprotestować - ale on odwrócił się i pobiegnął.

Była kompletnie zagubiona.



## ROZDZIAŁ PIĄTY

Na szczęście Quinn zostawił ją w spokoju przez resztę dnia i zdołała dokończyć pierwszy z serii woskowych modeli, które zwykła robić na początku projektowania. Pracowała do późna. Pożyczyła mu dobrej nocy w progu jego gabinetu i poszła do łóżka, usiłując stłumić wspomnienia pocałunku. Jednak sen nie nadchodził.

Przewracała się z boku na bok, wsłuchana w szum fal. Rozważała przespacerowanie się po plaży. Czasem to robiła, gdy nie mogła zasnąć. W końcu, koło pierwszej w nocy, wstała i narzuciła szlafrok, mając nadzieję, że porcja czekoladowego mleka jej pomoże.

Na dole, w gabinecie Quinna, paliło się światło. Drzwi były otwarte. Zatrzymała się na chwilę, puls dudnił jej w uszach. Było cicho, więc podsunęła się bliżej i ostrożnie przycisnęła ucho do płyty drzwi. Usłyszała głos i niemal podskoczyła. Odetchnęła dopiero, gdy zdała sobie sprawę, że to rozmowa telefoniczna.

Z kim mógł rozmawiać o pierwszej w nocy? Pomyślała o tej wyjątkowej kobiecie w jego życiu i poczuła ukłucie zazdrości, poczucia winy. Może to był romans na odległość i dlatego dzwonił tak późno? Witaj, kochanie, dziś kogoś pocałowałem...

Lecz szybko okazało się, że to rozmowa biznesowa. Był w samym środku aukcji, licytując przez telefon. Kiedy usłyszała „pięć milionów”, przyzwoitość diabli wzięli, wsunęła głowę przez drzwi.

Siedział przy biurku ze słuchawką przy uchu. Poczowała jego zainteresowanie, gdy zwrócił wzrok w jej stronę. Jedną rękę miał opartą o blat, tuż obok szklaneczki z bursztynowym płynem. Paliła się tylko lampa na biurku, poza tym pokój tonął w ciemności.

Czaiła się w cieniu, choć nie dał żadnego znaku, czy jej obecność jest mu miła czy nie. Wciąż się w nią wpatrywał.

Po kilku minutach upił łyk drinka, odłożył słuchawkę i włączył tryb głośnomówiący, wciąż na nią patrząc. Odebrała to jako rodzaj zaproszenia. Miała okazję zobaczyć negocjatora przy pracy.

Zrobiła kilka kroków w głąb pokoju i oparła dłonie na oparciu krzesła, żeby utrzymać dystans pomiędzy nimi.

Akcent osoby, z którą rozmawiał, był wyraźnie brytyjski. Usłyszała nazwę znanego domu aukcyjnego i słowa „pozycja siódma”. Najprawdopodobniej licytacja miała miejsce w Londynie. Była ciekawa, czy człowiek po drugiej stronie linii to urzędnik domu aukcyjnego, czy pracownik Quinna.

Licytowano znany obraz współczesnego irlandzkiego malarza, który zmarł w latach sześćdziesiątych. Znała go tylko dlatego, że Howard miał jeden jego obraz. Nie miała pojęcia, ile osób bierze udział w licytacji. Słyszała tylko głos rozmówcy Quinna przekazujący informacje o kolejnych ofertach. Przerwy pomiędzy zgłoszeniami zdawały się ciągnąć w nieskończoność. Wyczuwała ogromne napięcie po tamtej stronie.

Cena doszła już do ośmiu milionów funtów. Dani przysunęła się nieco bliżej biurka, podziwiając jego spokój. Najprawdopodobniej nie własne pieniądze wydawał, ale będąc na jego miejscu, już by się ugięła pod presją. Wylicytowanie kolejnego miliona zajęło dwie, może trzy minuty. Quinn wciąż nie odrywał od niej wzroku.

- Dziesięć milionów funtów, sir?

Spokojnie potwierdził. Dziesięć milionów! Ile to w dolarach australijskich? Za obraz?

Kolejna przerwa była dłuższa. Dani była już w połowie drogi do stojącego przed biurkiem fotela.

- Konkurencja właśnie zgłosiła jedenaście milionów, panie Everard.

- Proszę kontynuować - polecił Quinn spokojnie.

Dani zakryła usta dłonią i podeszła do biurka. Ją napięcie wykańczało, on był spokojny.

Mijały minuty. Dwanaście milionów przelicytowane. Gardło wyschło jej na wiór, przełknęła z trudem. Quinn wziął szklaneczkę, zwilżył wargi i podał jej napój.

Koniak. Już zawsze jego zapach będzie jej się kojarzył z tą nocą. Powoli schłodziła szkłem czoło, odstawiła je na biurko.

Jego oczy miały tajemniczy wyraz. Kropla potu spłynęła jej po plecach, przeciągnęła się lekko, żeby jedwabisty materiał szlafroka zgarnął wilgoć. Błysk w jego oczach powiedział jej, że zostało to zauważone, ale milczał.

- Panie Everard - odezwał się głos. - Konkurencja konsultuje się z klientem. Podtrzymuje pan licytację?

- Tak.

- Tak na marginesie, Quinn. - Rozmówca w telefonie zniżył i ściszył głos. - Jeśli chodzi o przedmiot, którym byłeś zainteresowany, obawiam się, że na razie nie mam nic. Jednakże...

Quinn zmienił pozycję, ale nie zareagował na jej uniesione brwi.

- Proszę dalej.

- Pewien znajomy dżentelmen niedawno wizytował posiadłość po drugiej stronie miasta. Jest mi winien parę przysług.

- Obracasz się w wyjątkowo nieciekawym towarzystwie, Maurice.

- Powiadomię cię osobiście, jeśli będę mógł pomóc. - Rozległy się stłumione głosy.

- Chyba jesteśmy gotowi kontynuować, sir.

- Dziękuję - mruknął Quinn, wciąż wpatrując się w Dani.

Straciła poczucie czasu. Mogło to trwać zarówno dziesięć minut, jak i godzinę. Doszły jeszcze dwa miliony funtów. Dani pociągnęła kolejny łyżek trunku. Przeszła na jego stronę i oparła się tuż przy nim o biurko. Odwrócił fotel tak, by móc swobodnie na nią patrzeć.

Czternaście milionów funtów. Przełknęła nerwowo.

Czternaście milionów dwieście tysięcy. Drugi z licytujących zgłosił chęć zmniejszenia przebicia. Quinn nie protestował, licytator najwyraźniej też.

Czternaście milionów pięćset tysięcy. Pokój zaczął lekko wirować wokół niej. Może to sprawka koniaku. Napięcie było nie do zniesienia.

Czternaście milionów siedemset tysięcy za pozycję siódmą, po raz pierwszy. Przygryzła kciuk, modląc się w duchu.

Czternaście milionów siedemset tysięcy za pozycję siódmą, po raz drugi. Wzięła głęboki wdech i zamarła. To jest to!

Po wszystkim! Quinn wygrał licytację!

Wypuściła mocno powietrze, czując ogarniający ją bezwład, ale rozpieierała ją radość. Podskoczyła, wyrzucając ręce w geście zwycięstwa. Po raz pierwszy od dłuższego czasu Quinn nie patrzył na nią, tylko należące na biurku akta.

- Gratulacje, panie Everard, i dziękujemy za udział.

- Dziękuję, Maurice - zawiesił głos, jakby chciał coś dodać, ale spojrzał na Dani. - Dziękuję - powtórzył tylko. Szybko wyłączył telefon, stanął przed nią i mocno objął ją w pasie. Przyciągnął ją do siebie.

Objęła go za szyję i oparła się na nim, wtulając twarz w jego ramię. Poruszył się tak, że przechyliła głowę, odsłaniając szyję.

Ugryź mnie, pomyślała, czując szybkie pulsowanie krwi. Miała wrażenie, że zaraz wyskoczy ze skóry. Nigdy w życiu nie była tak podniecona, przestała myśleć o konsekwencjach, o innych kobietach, o swoim sercu, o jego nienawiści do Howarda.

Jakby usłyszawszy jej prośbę, pochylił głowę i musnął wargami dołek u nasady szyi, poniżej krtani, a potem wpił się w jej usta...

Jakiś czas później, w kolejnym tysiącleciu, Dani zdołała się poruszyć i spróbowała podnieść głowę. Quinn przygniatał ją z twarzą w jej włosach. Interesująco kłopotliwa sytuacja, biurkowa lampa z odległości kilku cali zalewała światłem jej twarz, na pewno ujawniając najdrobniejsze niedoskonałości. Czowała na sobie serce Quinna bijące w szalonym tempie. Udało jej się spojrzeć w bok. Zobaczyła na podłodze okropny bałagan, ubrania wymieszane z papierami i porozlewany koniak.

Dmuchnęła mu lekko w ucho. Nie doczekawszy się reakcji, powtórzyła gest. Zamrugał powoli, odwrócił głowę i oblizał wargi. Powoli zogniskował na niej wzrok.

- Wszystko dobrze? - spytał słabo.

Rany, jeszcze nigdy tak nie było! Zamrugał przepaszająco, unosząc się o kilka centymetrów.

- Wybacz, przygniatał cię.

Quinn Everard jest zakłopotany, pomyślała. Prawdopodobnie tak jak ona nie uprawiał nigdy tak gwałtownego seksu. Uśmiechnęła się szerzej.

- Nigdy nie podejrzewałam, że lubisz na biurku.

Zamrugał, skonsternowany.

- Nie. Ja... przepraszam. Zrobiłem ci krzywdę?

Powstrzymała się od śmiechu.

- Jeśli rozkosz nazwiesz krzywdą...

Poruszyli się niezdarnie. Uniósł się nieco wyżej i popatrzył w dół, na jej ciało. Zauważył jej kolczyk w pępku, dotknął go lekko. Trójkątny węzeł z czystego srebra, wysadzany ciemnoczerwonymi kryształami Swarovskiego.

- Zrobiłaś to? Piękne.

Dani wykonała ten klejnocik tylko dla siebie. Drogie kamienie, z którymi wolą pracować, były do tego celu zbyt kosztowne, skoro z założenia biżuteria miała być niemal zawsze ukryta pod ubraniem.

Przykrył dłonią jej brzuch, potem przesunął ją na biust. Poczula, że zaczął odzyskiwać wigor.

- Jeśli rozważysz danie mi drugiej szansy, może uda mi się wykazać nieco większą subtelnością.

- Choć nie mam nic przeciwko kotłowaniu na biurku - uśmiechnęła się i otoczyła jego szyję ramionami, wyginając się sugestywnie - nie zamierzam protestować przeciwko odrobinie subtelności...

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Dla uczczenia wyniku aukcji Quinn ogłosił następny dzień wolnym od pracy. Kiedy brała prysznic, wszystko zorganizował i już w godzinę później, w porcie jachtowym Port Douglas, wchodzili na pokład wycarterowanego bez załogi katamaranu klasy „Sea-wind”, dziesięciometrowego cuda o rozchylonych burtach i skośnym ożaglowaniu.

Pożeglowali na Low Isles<sup>3</sup> i nurkowali z fajką w zapierającym dech podmorskim ogrodzie Wielkiej Rify Barrierowej. Kiedy około południa okolicę opanowały hordy jednodniowych turystów, pożeglowali dalej, poszukując jakiejś niewielkiej zatoczki, by tam zacumować i nacieszyć się zawartością piknikowego koszyka.

<sup>3</sup> Low Isles to mały skrawek lądu składający się z dwóch wysp. Pierwszą jest koralowa Low Isle, drugą płaska, prawie w całości zalewana podczas przyływu Woody Island. Stanowią one zamknięty rezerwat przyrody, miejsce gniazdowania i wylęgu wielu gatunków morskiego ptactwa, (*przyp. tłum.*).

- To jest życie. - Dani wyszła spod pokładu, znów w swojej limonkowozielonej sukience plażowej; wolał ją w bikini, ale łatwo ulegała oparzeniom słonecznym. Przynajmniej dokładnie wiedział, co pod tą sukienką jest, i będzie miał później dodatkową uciechę przy jej zdejmowaniu.

Podał jej szklaneczkę i talerzyk, które wyjął z koszyka.

- Żeglowałaś kiedykolwiek? - spytał.

- Nie. Howarda łodzie nigdy nie interesowały.

- Zgadzaście się?

- Z Howardem? - zastanowiła się. - Przez większość czasu. Nie wahał się wygłaszać swoich opinii o strojach, przyjaciołach, muzyce i tak dalej, ale w końcu to on płacił rachunki.

Zdjęła zakrętkę z butelki schłodzonego białego wina i podała mu. Quinn miał pełne usta, więc odmówił, potrząsając głową i pokazując butelkę z wodą.

- Był dla mnie miłszy niż dla innych. Nigdy nie miałam kierować jego biznesem, dlatego, podejrzewam, traktował mnie łagodniej.

- Kupił ci sklep, prawda?



- To była pożyczka, już ją prawie spłaciłam.

- Dlaczego nigdy się nie pobrali? - Quinn naprawdę chciał wiedzieć, czemu ten drań nigdy nie uznał Dani jako swojej córki.

- Kto? - nie zrozumiała.

- Twoja matka i Howard.

- Dlaczego mieliby się pobrać? Był jej szwagrem.

- Najwyraźniej lubili się wystarczająco, by być razem przez tyle lat.

- Trochę przypominali stare małżeństwo, przynajmniej kiedy on nie dawał powodów do plotek... - Uśmiechnęła się.

- Ale nadal z nim była? - Nie uwierzy, że Sonya pozostawała w tym związku, nie chcąc wszystkiego. Nieważne, ile razy Blackstone'owie temu zaprzeczali, ojcostwo Dani było regularnie przedmiotem rozważań. Większość ludzi - w tym Quinn - uważała, że była jego nieślubnym dzieckiem.

- Wiem, że wszyscy sądzili, że mama była jego kochanką - powiedziała Dani marnotnie. - Całe życie otaczały mnie podejrzliwe spojrzenia i ukradkowe szeptki. Lecz ona ma więcej klasy w jednym paznokciu niż oni wszyscy razem.

- Ale byłaś jeszcze ty. - Jeśli Howard nie chciał uznać nieślubnego dziecka, to czemu afiszował się z nimi, czemu mieszkali u niego?

- Howard nie jest moim ojcem - odparła zmęczonym głosem. - Wiem, że go nie-nawidzisz, i wiem, że ma... miał swoje wady. Lecz dbał o nas, a to dużo więcej, niż można powiedzieć o moim prawdziwym ojcu.

- A jest nim...?

- A kogo to obchodzi? - warknęła. - Nie Howard, to pewne.

- Przepraszam. Śliski temat, co?

- Nie śliski, nudny - ściszyła głos. - Nie chciał nas i to wszystko. Nie miałabym nic przeciwko temu, żeby Howard okazał się moim ojcem. Przynajmniej był z nami.

Quinn miał wrażenie, że powinien się czuć winny. W końcu przespanie się z Dani nie okazało się zwycięstwem nad zmarłym wrogiem.

- Kto cię nauczył żeglować?

- Mój ojciec. - Jako dziecko spędził na wodzie wiele sobotnich poranków, dopóki rodzice nie uznali, że jacht jest luksusem, a pieniądze można lepiej wydać.

- Trudno było dorastać w rodzinie zastępczej?

- Trudno? - Uśmiechnął się. - Czasami. Piekielnie hałaśliwie. Dom był właściwie otwarty. Wątpię, by nawet mama i tata wiedzieli, ile dzieci jest w nim w danej chwili.

- Mówiłeś do nich „mamo” i „tato”?

- Oni są moimi rodzicami - odparł, zdumiony.

- No tak, ale jak długo z nimi byłeś? - Nie rozumiała.

- Całe życie. Zdaje się, że opacznie wszystko rozumiałaś. Ja nie byłem przybranym dzieckiem, tylko wszystkie pozostałe.

- Ach, rozumiem. Czyli prowadziliście rodzinny dom dziecka?

- Coś w tym rodzaju. Mieli wielki stary dom w Newton, blisko King Street. Wiele pokoi, w różnym stanie zaniedbania, i kuchnia wielkości hotelowej restauracji.

- Inaczej sobie to wyobrażałam.

- A jak mianowicie?

- Wielka stara posiadłość z kamerdynerem. Wszyscy przebierający się do obiadu i mówiący bardzo poprawnie. - Wzruszyła przeprasząc ramionami. - Wybacz, ale jesteś tak bardzo wysublimowany.

- Rodzicom by się to spodobało. To najbardziej bezpretensjonalni ludzie, jakich znam. Dawni hipisi, bardzo wrażliwi społecznie. Nie dbają o pieniądze i piękne przedmioty, tylko dzielą się wszystkim, co mają, z mniej obdarzonymi przez los. Chyba mój kapitalistyczny sukces sprawiłby ich w zakłopotanie, choć nie wahają się co parę miesięcy proponować mi jakiejś nierealnej fundacji czy czegoś innego.

Założyła nogę na nogę, skupiając tym na sobie jego uwagę. Przez dłuższą chwilę widział tylko ją. Młodsza od niego o siedem lat, ale nie w tym tkwił magnes. Była mu równa dojrzałością i inteligencją.

- W takim razie musiałeś widzieć sporo smutnych rzeczy.

- Dzieci są samolubne. Zbyt byłem zajęty wyznaczaniem swojego prywatnego terenu.

- To tak złamałeś nos?

- Owszem. To Jake Vance.

- Jake? - Wyprostowała się.

- Znasz go? - Coś się w nim zjeżyło. Zdziwiłby się, gdyby nie słyszała o Jake'u, w końcu to najbardziej znany australijski przedsiębiorca. Lecz choć był jego najlepszym przyjacielem, miał ogromne powodzenie u kobiet i Quinn wcale nie był pewien, czy podobała mu się wizja przyjaznych stosunków Dani z Jake'em.

- Nie za dobrze. Kilka razy go spotkałam. Był na ślubie Kim i Rica, z Brianą Davenport.

- Słyszałem o tym - uspokoił się.

- Opowiedz mi o tym złamanym nosie - poprosiła.

- Kiedy zamieszkał u nas, z początku nie spotkaliśmy się oko w oko.

- Jake Vance był przybranym dzieckiem? - spytała z niedowierzaniem.

- Nie całkiem. Miał matkę, ale były jakieś problemy, głównie z jego ojczymem. Po ucieczce z domu szukał pracy w mieście, ale wszystko poszło nie tak, jak oczekiwał. Mama i tata kiedyś spotkali go na ulicy i od słowa do słowa pojawił się u nas w domu.

Jako nastolatek był przyzwyczajony do dzielenia się, ale wolał, kiedy go grzecznie poproszono. Jake tego nie robił, a Quinn nie zamierzał stracić najwyższej pozycji we własnym domu. Bójka przeszła do legendy. Kiedy się skończyła, żaden z nich nie był w stanie ustać o własnych siłach. I tak zaczęła się długa i cenna przyjaźń.

- Teraz jest moim najbliższym przyjacielem. On i Lucy, przybrana siostra. Ją wykorzystywano, odkąd pamiętała. Trafiła do nas, mając osiem lat, i została. - Zauważył jej przerażone spojrzenie. - Kilka lat temu zeszli się na trochę z Jake'em, teraz ona mieszka w Londynie. Pracuje w banku - dokończył z dumą.

- Straszne. - Dani wzdrygnęła się. - Co czyni z ludzi takie potwory?

- Przypuszczam, że nikt nie jest taki od początku - rzekł z zamyśleniem. - Lecz jeśli się nie chce dzieci, powinno się uważać.

Dani skinęła smutno głową. Zdał sobie sprawę, że musiało jej to być bliskie.

- W dzisiejszych czasach to dosyć łatwe - uzupełnił.

- A więc to, co widziałeś i słyszałeś, spowodowało, że sam nie chcesz mieć dzieci?

- zająknęła się, widząc, jak spoważniał. - Och, przepraszam.

- W porządku. Byłem żonaty.

- Przypomniałam sobie, kiedy spytałam. Laura Hartley, prawda? Wiem to tylko dlatego, że była w PLC w tym samym czasie co Kim. Ja trafiłam tam kilka lat później.

- Ach - skinął głową. - Nie wiedziałem.

PLC, czyli Pymble Ladies College, prywatna uczelnia dla dziewcząt na północnym wybrzeżu, miała reputację znakomitej szkoły, jednak była dostępna tylko dla bardzo bogatych.

- Przepraszam - powtórzyła cicho. - Przypominam sobie teraz, że zmarła.

- Pobraliśmy się jeszcze na studiach. Laura chciała być pracownikiem socjalnym, a jej rodzice... - głos mu stwardniał - mieli inne zamiary. Oczywiście, posłali ją do świetnej szkoły, znieśli jakoś uniwersytet, ale nie zamierzali pozwolić, by ich córeczka pobrudziła sobie rączki. Pozwalali jej tylko miło spędzać czas do chwili, gdy pojawi się właściwy, bogaty kandydat na męża. - Uśmiechnął się gorzko. - Kiedy wprowadziła się do mnie, do gorszej połowy miasta, rodzina ją wydziedziczyła.

- A jaki oni mieli rodzinny interes? - Dani zmarszczyła brwi. - Pamiętam tylko sklepy w całym kraju. Chyba byli bliskimi znajomymi Howarda.

- Wyściełane meble. - Gorycz na wspomnienie imienia Howarda była trwała. Może i nie spowodował śmierci Laury, ale niewątpliwie miał wpływ na jej samopoczucie w ostatnich dniach życia.

- Ile miała lat, gdy umarła?

- Dwadzieścia sześć. Wszystko poszło błyskawicznie, kilka miesięcy od pierwszych objawów do końca.

- Tak mi przykro - powiedziała, z oczami pełnymi współczucia.

- Niepotrzebnie. Nie zamieniłbym tych kilku lat na nic innego. Kochała nasze życie, moich rodziców, przygarnianie niechcianych dzieci z ulicy. Zawsze można ją było znaleźć gdzieś w kącie, rozmawiającą z zasmarkanym dzieciakiem. Zwierzały jej się, mówiły jej wszystko. Więcej niż mamie i tacie. Odwiedziłaby tyle miejsc, pomogłaby tak wielu. Nie pojmuję, dlaczego musiała umrzeć.

Jakaś jego częśćka zawsze będzie ją kochać, tamten okres życia, kiedy był młody i dość głupi, żeby wierzyć, że oboje są niezniszczalni. Lecz Howard Blackstone splamił te wspomnienia. Tego nigdy mu nie wybaczy.

Poczuł, że musi to wytłumaczyć Dani, mimo że sam robił jej to samo, co Howard zrobił jemu. Plami wspomnienia. Chciał jednak, by wiedziała.

- Chcesz wiedzieć, dlaczego tak bardzo nienawidzę Howarda? Ten łajdak zrujnował ostatnie tygodnie życia Laury.

Zbladła.

- Nie wiedziałam, że ją znał.

- Nie ją. Lecz znał dobrze Hartleyów. Po przegranym głosowaniu w World Association of Diamonds zrobił wszystko, by zepsuć moją reputację. To nic, o siebie sam potrafiłem zadbać. Laura zawsze wierzyła, że jej bliscy w końcu zaakceptują nasze małżeństwo. Lecz Blackstone knuł, zatruwał ich nienawiścią i odwrócili się od niej, nawet wiedząc, że umiera.

Dani była przerażona. Odwróciła wzrok, jakby nie mogła spojrzeć mu w oczy. Tak, to boli, pomyślał gorzko. Myślała dotąd, że Howard był prawie święty.

- Kiedy wszystko się posypało, kiedy nastąpił nawrót nowotworu, poszedłem do nich błagać, by przyszli. Choć nadziei nigdy nie straciliśmy... - Laura nikomu by nie pozwoliła nawet pomyśleć, że nie poradzi sobie z rakiem. - Wyrzucili mnie. Powiedzieli mi, co usłyszeli o mnie od Howarda. Jak niegodny jestem zaufania, że chodziło mi tylko o jej pieniądze, że była dla mnie tylko narzędziem do wydostania się ze slumsów. - Odwrzucił głowę do tyłu i odetchnął głęboko. - Nie potrafili nawet zapewnić jej spokoju przed śmiercią - rzucił z pogardą.

- Ja... nie wiedziałam...

A skąd miała wiedzieć?

Teraz, kiedy już wyrzucił z siebie gniew, jak zawsze wszystko zbladło. Zasluga czasu. Blackstone jednak potrafił ranić nawet zza grobu.

- Nie zasługiwali na nią, Quinn - powiedziała cicho. - Ty tak.

Westchnął, myśląc, że Dani ma swoje problemy, pomimo wielkiego wsparcia bliskich. Podejrzewał, że nigdy nie czuła się częścią prawdziwej rodziny. Dostrzegł w niej

brak poczucia bezpieczeństwa. Pamiętał to z dawnych czasów - samotność i potrzebę przynależności.

Gdzieś po drodze przestał tego szukać.

Ale do diabła z tym. Dzień taki jak dziś nieczęsto się przydarza. Ona była seksowna, zabawna, utalentowana. Dostępna. Dlaczego pograżał się w gorzkiej przeszłości?

Odstawił szklanekę, żałując, że posmutniała z jego powodu. Chciał, by wróciło ciepło jej radosnego uśmiechu. Kiedy wyciągnął do niej rękę, uśmiechnęła się do niego. Zobaczył w jej oczach zrozumienie i współczucie. Kiedy się pochylił, by ją pocałować pod uchem, puls jej przyspieszył.

Tu chodzi o seks, upomniał sam siebie. Niewiarygodny, nieskomplikowany. Przecież jeśli dzięki temu czuli się oboje lepiej i nie mieli większych oczekiwań, nikt nikogo nie krzywdził.

Postawił ją na nogi i zaprowadził do kabiny, ściągając po drodze ubranie...

- Jak idzie?

Dani podniosła wzrok znad warsztatu, przy którym, kilka dni później, spędzała mnóstwo pracowitych godzin.

- Dziś zaczynam łańcuszek.

Pracowała w platynie, która zawsze stanowiła wyzwanie, ale lubiła ten metal. Wielu jubilerów uważało, że jest za kruchy i zbyt trudny w obróbce, ale w miarę nabierania doświadczenia szło coraz łatwiej, a nagroda była warta wysiłku.

- Wybrałaś ogniwkę, nie węża - zauważył z aprobatą.

- Klasyczny i nie skręca się tak bardzo.

Wzięła palnik i zatopiła się w pracy. Quinn przysunął sobie stołek. Nabrał zwyczaju przyglądania się jej.

- Musi być coś fascynującego w tworzeniu czegoś od początku do końca ze świadomością, że produkt przeżyje twórcę.

Po raz kolejny przeglądał teczkę jej prac. Na każdej stronie znajdował coś ciekawego i dopytywał się, jak wpadła na tę kombinację tekstur czy barw. Powiedział jej, że łamała wszelkie reguły, a mimo to jej biżuteria była piękna.



Dani pławała się w jego zainteresowaniu. Sprawiał wrażenie, że pojmował ją, że dzielił jej wizję więzi pomiędzy kamieniami szlachetnymi a cennymi metalami. Projektowanie to samotny zawód. Większość ludzi była zainteresowana tylko produktem końcowym, a nie wędrówką przez proces tworzenia. Miło było choć raz mieć kogoś, z kim można się podzielić pomysłami.

Od wyprawy jachtem minęło kilka dni, coraz chłodniejszych i spokojniejszych. Ledwie zauważała zmianę pogody, bo opuszczała warsztat tylko na krótkie chwile, żeby dokończyć ostatnie przygotowania do ślubu Ryana z Jessicą albo kochać się z Quinnem.

Zerknęła na niego, przeglądającego przy biurku jej teczkę. Jak dotąd powstrzymała się od dręczenia go o odbiorcę żółtego diamentu. Pomimo szantażu na wstępie był człowiekiem honoru. Musiała w to wierzyć.

Zazwyczaj nie tak postępowała, ale czas dorosnąć w tych sprawach. Jeden katastrofalny związek tylko umocnił ją w przekonaniu, że nie jest dość dobra, że zawsze w najlepszym razie będzie na drugim miejscu.

Odezwała się jej komórka. Odłożyła palnik. Dzwonił Steve ze sklepu, że jest w nim Matt Hammond i chce się z nią widzieć. Podała mu adres domu przy plaży i przygotowała się na pierwsze w życiu bezpośrednie spotkanie z kuzynem. Parę minut później, zdenerwowana, pozwoliła Quinnowi wpuścić gościa, sama trzymając się parę kroków z tyłu.

- Danielle? - Matt przynosił niedowierzający wzrok z niej na Quinna. - Nie miałem pojęcia, że się znacie - dodał, ujmując podaną przez Quinna dłoń.

- Dani robi dla mnie mały projekt.

Popatrzyła na Matta. Był prawie tak wysoki jak Quinn, szczuplejszy, miał gęste blond włosy i bystre, szare oczy przypominające jej matkę.

- Wejdz i siadaj. - Quinn poprowadził ich do salonu i dyskretnie się wycofał.

Dani zacisnęła dłonie, niepewna powodów tej wizyty, mając nadzieję, że to prawdziwy wstęp do poznania australijskiej części rodziny. Jej pierwsze ostrożne pytania dotyczyły Blake'a. Po miesiącach spekulacji o niewierności jego zmarłej żony temat był dość śliski. Lecz kiedy spytała go o zdjęcia, jak każdy dumny ojciec wyciągnął je z portfela.

Widniał na nich ciemnowłosy chłopiec o poważnej twarzy.

- Trzy i pół - odparł Matt na pytanie o wiek.

Zebrała się na odwagę, by spytać, czy mogłaby wysłać jakieś swojej matce. Bez wahania dał jej kilka.

- Jesteś na wakacjach?

- Pomyślałem, że najwyższy czas, byśmy się spotkali - wyjaśnił prosto. - Chciałem też pogadać z Quinnem, ale nie spodziewałem się zastać was razem.

- Tak jak powiedział - rzekła szybko - robię dla niego projekt.

- I dobrze - uśmiechnął się Matt. - W tym biznesie rekomendacja Quinna Everarda jest bardzo cenna. A tak na marginesie, widziałem katalog lutowej kolekcji. Twoja biżuteria robi wrażenie.

Dani rozjaśniła się. Dzięki tej kolekcji Blackstone'ów miała bardzo dużo pracy.

- I to jest drugi powód mojej wizyty - ciągnął. - Przypuszczam, że słyszałaś o zwróceniu mi diamentów Serca Interioru?

Dani skinęła ostrożnie głową, zauważając użycie przezeń nazwy Serce Interioru - nazwy Hammondów, nie Blackstone'ów.

- Mam pewien pomysł, który ciebie też dotyczy. Chciałbym z diamentów Serca Interioru zrobić dziedziczny naszyjnik, dla przyszłych panien młodych w rodzinie.

- Matt, to cudowny pomysł!

- Mam nadzieję, że mój ojciec też tak pomyśli.

- Moja matka bardzo by chciała odnowić stosunki z Oliverem, twoją matką, tobą i Blake'em. Myślisz, że jest na to jakaś nadzieja?

- Ja nic nie mam do Sonyi, Danielle - odparł spokojnie. - Lecz nie mogę mówić w imieniu ojca. - Głos mu złagodniał. - Małymi kroczkami? Zaczynając od twojego projektu Róży Panny Młodej?

Róża Panny Młodej. Emocje mało jej nie rozsadziły.

- Będę zaszczycona - wymamrotała, dla ukrycia łez wpatrując się nieruchomo w zdjęcie Blake'a.

Choć kuzyni Ryan i Kim byli jej bardzo bliscy i nie wątpiła też nigdy w miłość matki, brakowało jej poczucia przynależności. Odnalezienie nowej rodziny i uczestni-

czenie w ponownym połączeniu jej członków było zaszczytem. Najwyraźniej z Mattem, tak jak z Jarrodem, pasowali do siebie.

Wtedy pojawił się bardziej egoistyczny powód do radości. Najpierw olśniewające, żółte diamenty z sejfu na górze, a teraz różowe z Róży Blackstone'ów. Jakie są szanse dostania dwóch zamówień na projekty dla diamentów tej klasy? I to w wieku dwudziestu siedmiu lat!

- Jaka szkoda, że nie odnaleziono piątego diamentu.

- Pracuję nad tym - odrzekł Matt tajemniczo. - Na razie chciałbym, żebyś zrobiła projekt dla wszystkich, z piątym jako centralnym. Dasz radę?

- Oczywiście. Dasz mi kilka tygodni na dokończenie obecnej roboty?

- Planowałem dotychczas tylko uzyskanie twojej odpowiedzi.

- I masz ją. - Uśmiechnęła się radośnie. - Z rozkoszą to zrobię. Cudownie, że pomyślałeś o mnie.

- Należysz do Hammondów i jesteś bardzo utalentowaną projektantką. Idealny wybór.

Przez godzinę jeszcze rozmawiali o handlu biżuterią, małym Blake'u i niedawnych zaręczynach Jarroda z Brianą. Dani podejrzewała, że Mattowi małżeństwo brata z siostrą jego zmarłej żony może się wydawać dziwne, ale wyznał, że zawsze lubił przyszlą szwagierkę. Wspomniała plotki sugerujące, że to Jarrod jest zaginionym dziedzicem Blackstone'ów. Matt nie poczuł się urażony wymienieniem tego nazwiska.

- Biologiczna matka Jarroda miałyby coś do powiedzenia na ten temat - rzucił. Dani była zaskoczona. W prasie nie pojawiła się żadna wzmianka o niej. - Dość często wyciąga pieniądze od brata i zaraz znika.

Jarrod. Nieziemsko przystojny, wzięty prawnik, piękna narzeczona, ale pod tą fasadą krył się osobisty dramat. Przynajmniej znał swoją matkę... Matt zmienił temat.

- Briana zaciągnęła go na jedną z tych swoich zamorskich sesji zdjęciowych. Biedaczysko... Kiedy wrócą, możemy urządzić rodzinne spotkanie.

- Z Blake'em? - spytała. - I moją matką?

- Czemu nie?

We troje zjedli znakomity obiad w ogródku słynnej restauracji, pośrodku kępy wielkich palm. Usłyszawszy o zamówieniu na Różę Panny Młodej, Quinn wznosił toast, mówiąc, że zapewni jej to trwałą pozycję w świecie projektantów. Potem zwrócił się do Matta.

- Zdawało mi się, że trafiłem na trop piątego kamienia, ale okazał się zupełnie zimny. Będę cię powiadamiał na bieżąco.

Kuzyn był wyraźnie zawiedziony, lecz uniósł szklaneczkę.

- Doceniam to, Quinn. Ktoś musi coś wiedzieć. Danielle, z niecierpliwością będę czekał na podjęcie przez ciebie pracy nad naszymi kamieniami. Z kompletem kamieni, mam nadzieję.

Niewątpliwie był to jeden z najlepszych dni w jej życiu. Jej matka chyba ze skóry wyskoczy, gdy usłyszy, że Matt nawiązał z nią kontakt. A okazja wpisania się w historię Serca Interioru to dopiero radość! Idealne zakończenie idealnego dnia.

Było takie do chwili, gdy nieco później, wracając z łazienki, usłyszała ich rozmowę. Nie podsłuchiwała, ale wszystkie palmy wyglądały tak samo, a ona podeszła z zupełnie innej strony. Matt przesiadł się na jej miejsce i pochylił się ku Quinnowi. Coś zatrzymało ją za najbliższym pnem i nagle usłyszała nazwisko Blackstone.

- Rozmawiałem już z trzema pomniejszych akcjonariuszami - powiedział Matt. - Gdybyś nas poparł...

- Jeśli myślisz o tym serio - usłyszała głos Quinna - potrzebujesz Jake'a Vance'a w swoim obozie, nie mnie. Ja mam tylko garstkę akcji.

- Spotykam się z nim w przyszłym tygodniu, ale grunt jest niepewny. Po śmierci Howarda imperium Blackstone'ów się kruszy. Perrini i Ryan skaczą sobie do oczu, a Kim musi ich bez przerwy uspokajać. Ja tylko chcę utrzymać nacisk.

Miły nastrój Dani ulatniał się szybko, pozostawiając paskudne uczucie, że jej kuzyn nie gra fair.

- Nie interesuje mnie żadna szarpanina, Matt. Moje akcje mają się świetnie.

- Znając twoją przeszłość, myślałem, że skorzystasz z okazji, by dokopać Blackstone'om.

- Moja niechęć dotyczyła Howarda, nie Blackstone Diamonds.

- Albo - rzucił Matt nonszalancko - mieszasz interesy z przyjemnością.

Zobaczyła, jak oczy Quinna błysnęły groźnie. Zabrakło jej tchu.

- Dani to prywatna sprawa - rzekł po chwili lodowato.

Mimo łomotania serca, dosłyszała przeprosiny kuzyna.

- Lecz jeżeli przeciągnę Vance'a na swoją stronę, dołączysz do nas?

- Jeśli Jake sprzeda, ja też.

Została jeszcze za drzewem przez kilka sekund, usiłując uspokoić emocje. Czuła miłe oszołomienie tym, że Quinn nie zaprzeczył, że coś jest między nimi, przeplatające się z mocnym rozczarowaniem Mattem Hammondem.

Oraz niepokojem, że sama zadaje się z wrogiem. Być może z dwoma.

TLR

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

- Quinn, słyszałeś pogłoski o korporacyjnym przejęciu Blackstone Diamonds?  
Gwałtownie otworzył oczy. To był niespodziewany cios.

Leżał w łóżku, leniwie rozmyślając, że do tej pory jego sporadyczne seksualne kontakty rzadko obejmowały poranne igraszki, zwłaszcza tak fantastyczne i to z tą samą kobietą. Zawsze spiesznie zrywał się na spotkanie czy lot. Może tego mu przez te lata brakowało?

- Przed minutą przestałaś głośno wyrażać rozkosz i już chcesz rozmawiać o interesach?

Leżała z głową na jego piersi. Spojrzał na zegar. Siódma trzydzieści, czas wstawać.

- Tak, coś słyszałem. Chcesz kawy czy zostajesz w łóżku?

Nie dała się zbyć.

- Uważasz, że Matt jest w to zamieszany?

Czyżby wczoraj wieczorem coś usłyszała? Prośba Matta o sprzedaż akcji lub przychyłość dla przejęcia nie zaskoczyła go. Kuzyn Dani nagabywał wszystkich akcjonariuszy Blackstone o poparcie. I dostawał je.

Lecz od niego nie, przynajmniej na razie.

- Co to za śledztwo przed poranną kawą?

- Słyszałam ciebie - powiedziała cicho. - Wczoraj wieczorem. Mówiłeś o sprzedaży swoich akcji Blackstone.

Quinn przymrużył oczy. Diabli wzięli wszystkie miłe myśli o budzeniu się przy tej samej kobiecie. Ale co ona sobie wyobraża, że kim jest?

- Podśluchiwałaś, Danielle? Jeśli uważnie, to wiesz, że odmówiłem. - Uniosła głowę i popatrzyła mu prosto w oczy. Nagle zrozumiał, jak poważna to sprawa. - Przejęcie firmy to bardzo skomplikowana procedura. Potrzebne jest poparcie zarządu i posiadanie odpowiedniego procentu akcji. W Blackstone jestem tylko płotką, Dani.

Mówił prawdę. Sam miał bardzo mało akcji, lecz zebrał już więcej, niż Blackstone'owie przypuszczali, i wciąż powiększał ten udział. Wiedział też, kto dysponuje poważnymi pakietami.



- Lecz jeśli Jake Vance poprosi cię, byś sprzedał?

Quinn zeszywniał. Słyszała wszystko, ale nie miał zwyczaju przed nikim się usprawiedliwiać. Jego odpowiedź była bardzo chłodna.

- Tak, jeśli przedstawi mi rozsądne argumenty, sprzedam.

Oczy jej pociemniały z zawodu. Sam fakt, że to zauważył, rozzłościł go. W biznesie nie ma miejsca na emocje.

- Quinn, co uderza w Blackstone'ów, uderza i we mnie, tyle rozumiesz, prawda?

Czas przypomnieć im obojgu, że to tylko przelotny romans.

- Fakt, że sypiamy ze sobą, Danielle - odparł chłodno - nie daje ci prawa do wypytywania mnie o moje interesy.

Drgnęła. Poczul to całym ciałem, w które była wtulona, lecz nie zamierzał przekraczać w rozmowie wyznaczonych granic. Po długiej chwili dał jej sygnał, że zamierza wstać. Przesunęła się na swoją połowę łóżka. A właściwie kiedy to pojawiły się jej i jego strona?

W łazience odbicie w lustrze wpatrywało się w niego z niechęcią. Zastanawiał się, co się nagle zmieniło. W jednej chwili rozkoszował się jej seksownym ciałem, w następnej pogrążał się w poczuciu winy, myśląc nie o sobie, rozważając cudze uczucia. Jak głęboko wpadł?

W którymś momencie tam, na łodzi, obudziła w nim zapomnianą od lat potrzebę ochrony. Jego rodzice, dom z dzieciństwa - to zawsze był spokojny port wśród sztormu, przystań dla zagubionych i zranionych dusz. Czy właśnie to Danielle w nim dostrzegła?

Ochlapał twarz zimną wodą.

Miał to być króciutki romans, odrobina radości, odwrócenia uwagi od upału w czasie uwięzienia na końcu świata. Myśl o codziennym budzeniu się przy niej wyraźnie nabrała atrakcyjności. Trzeba będzie się temu przyjrzeć, i to szybko. Lecz usprawiedliwienie się przed nią stanowczo nie mieściło się w dopuszczalnych granicach.

Przy śniadaniu zadzwonił Steve i spytał, czy Dani nie mogłaby przez parę godzin dopilnować sklepu; chciał iść ze swoją dziewczyną na badanie ultrasonograficzne. Quinn pojechał z nią do miasta. Była milcząca, ale nie oschła. Opowiedział jej o paru chwytach

marketingowych. Odsunął od siebie myśl, że dając jej uczciwe rady, w jakiś sposób usiłuje zagłuszyć poczucie winy.

- Co tu robisz, Dani? - spytał, gdy klient wyszedł z bardzo ładną parą kolczyków z perłami, które, jak zauważył, sprzedała za bardzo dobrą cenę.

- Zarabiam na życie. Ledwie.

Quinn niespokojnie przemierzał małe wnętrze. Wystawa była dobra, bez sztuczek, świetna biżuteria wystarczała. Lecz sklep wymagał kompletnej przebudowy.

- Boisz się porażki czy sukcesu?

- Wiem, że przydałoby się nieco zadbać o to miejsce.

- Jak się tu właściwie znalazłaś? Dlaczego Port Douglas?

- Tu się zatrzymałam.

Wzięła szmatkę, butelkę płynu do szyb i wyszła z za lady. Dziś wyglądała prawie konserwatywnie, w sięgających poniżej kolan legginsach, sandałkach na wysokim obcasie i jasnopopielatej tunice o szerokich rękawach, z wielką, pomarańczową, jedwabną różą wpiętą w klapę.

Pojąć nie mógł, dlaczego zawsze dostrzega jej strój.

- Przed czym uciekałaś? - spytał raz jeszcze.

Podeszła do gabloty wystawowej i zaczęła czyścić szkło.

- Byłam zaręczona - odezwała się w końcu. W chwili, gdy to powiedziała, przypomniał sobie z grubsza zdawkowe wiadomości w telewizji. - Z człowiekiem dogłębnie przekonanym, mimo moich wielokrotnych zaprzeczeń, że jestem córką Howarda i, co za tym idzie, dziedziczką fortuny Blackstone'ów.

- Pamiętam - mruknął Quinn, zauważając wyraźne rumieńce na jej policzkach.

- Pamiętasz skandal - sprostowała. Zorientował się, że ona ma zaczerwienione policzki nie z powodu cierpienia, tylko zakłopotania. - Media miały swój dzień. Zabawne tytuły. Sama bym się z nich śmiała, gdyby... - Przesunęła się, by wyczyścić szybę kolejnej gabloty. - Wiesz, że on nawet żądał zwrotu pierścionka zaręczynowego, dopóki Ryan, na polecenie Howarda, nie złożył mu wizyty.

- Powiedziałbym, że wykręciłaś się tanim kosztem.

- Byłam tym wszystkim po prostu zmęczona. Jestem albo dzieckiem z nieprawego łoża, albo podstępłą łowczynią majątków, albo biedną idiotką, której narzeczonego przyłapano z gatkami opuszczonymi do kolan. Tak czy siak, cała w smole i pierzu.

Zamilkła i skupiła się na zaciekłym ścieraniu wyimaginowanej plamki.

- Dlaczego tutaj?

- Uwielbiam plażę i ten klimat. Jest tu dość daleko od Sydney, żeby większość ludzi nie zdawała sobie sprawy, że w ogóle jestem powiązana z Blackstone'ami. Poza tym tutejsza populacja jest bardzo płynna, mogę być kimkolwiek i czymkolwiek zechcę.

Przed oczami przemknęła mu seria jej wizerunków. Widywał jej zdjęcia w prasie, ale dopóki jej nie spotkał, nigdy nie zauważył jej zniewalającego piękna, radosnego uśmiechu i błyskotliwości. Teraz wstrzymywał oddech, słysząc ją schodzącą rano z góry i zastanawiając się, jakim nowym, oszałamiającym zestawem kolorów i materiałów go dziś zadziwi. Wyciągnął rękę.

- Chodź. - Wyprowadził ją na zewnątrz i pokazał wyblakłe litery nad drzwiami. - Co tu jest napisane?

- Dani Hammond. Doskonały Jubiler Port Douglas.

- Doskonały Jubiler - powtórzył. - Oboje wiemy, ile studiów i doświadczenia zawodowego wymaga możliwość dodania tych dwóch słów po nazwisku. Czy właśnie to sobie wyobrażałaś, wchodząc w ten zawód?

- Nie całkiem.

- A jaka była twoja wizja?

- A co wyobraża sobie każdy, kto coś zaczyna? Chciałam być najlepsza.

- Czy nie pragnęłaś, by przychodzili do ciebie ważni ludzie, celebryci, koronowane głowy i kolekcjonerzy? - spytał.

- Przypuszczam, że...

- Czy Howard Blackstone zainwestowałby swoje pieniądze, gdyby sądził, że do-trzesz zaledwie tutaj? To - wskazał dłonią fronton sklepu - jest za mało. Zarówno sam lokal, jak i jego umiejscowienie. - Wprowadził ją z powrotem do środka. - Masz znajomości, Dani. Jeśli Blackstone'owie nie pomogą, zainwestuj w firmę marketingową. Może moi ludzie pokażą ci właściwy kierunek.

- Słuchaj, od lutowego pokazu mam dużo zamówień. - Dani zdawała się nieprzekonana. - Ledwie się z nimi wyrabiam.

Lecz Quinn znów niespokojnie przemierzał sklep.

- Potrzebna ci przeprowadzka do Sydney. - Spostrzegł odmowny wyraz jej twarzy. - W takim razie Melbourne. Do diabła, czemu się ograniczać? Jesteś dobra, Dani, nawet świetna. Dlaczego nie Nowy Jork albo Europa?

- Właściwie to myślałam o przeniesieniu się o kilka witryn dalej. Do tego pustego lokalu w pobliżu. Jest prawie na rogu centrum handlowego, więc mnóstwo ludzi chodzi tamtędy piechotą. Dwa razy większy i bardzo nowoczesny.

Dlaczego ona tego nie rozumie?

- Chcesz być najlepsza? Najlepsza w Port Douglas?

- Tak, pamiętam ten komentarz o zapadłej dziurze - rzuciła gniewnie, zarumieniona.

- Hej, to twoja kariera. Lecz pies z kulawą nogą się o tobie nie dowie, jeśli nie dasz swojemu wizerunkowi solidnego kopniaka.

Podeszła do niego, z zaciśniętymi dłońmi i ogniem w złotych oczach. Zdał sobie sprawę, że jeszcze jest zła o dzisiejszy poranek.

- Nie może być aż tak źle - warknęła - skoro praktycznie błagałeś mnie o zaprojektowanie naszyjnika dla ciebie.

- Zaraz, to nie był mój pomysł - odparł. - Tak naprawdę sprzeciwiałem się dopuszczeniu ciebie do tego diamentu bliżej niż na parę metrów.

Odczuła to jak cios w brzuch.

Dziś rano starannie dobranymi słowami postarał się ustawić ją na właściwym miejscu: miała go o nic nie pytać i niczego od niego nie oczekiwać.

To było bardzo brutalne. Z jego zakłopotania domyśliła się, że nigdy nie zamierzał jej tego powiedzieć. Czyli Quinn Everard nie zjawił się tu dla najlepszej projektantki w okolicy. Załamana, poczuła, że blednie.

A czego się spodziewała? Tylko dokładniej wyjaśnił sytuację. Najlepsza - akurat! Jej sklepik był załosny, a Howard, mimo że dał jej pożyczkę, nigdy nie przestał głądzić o przeprowadzce z powrotem do Sydney i zajęciu się karierą na serio.

Musiała odezwać się pierwsza, zanim całkowicie się załamię.

- Kim jest twój klient? - spytała szybko.

- Dani, cokolwiek moje słowa są warte, teraz mam do ciebie całkowite zaufanie.

Doskonały Jubiler. Akurat.

- Mam nie wiedzieć, kto mnie wynajął?

- Przykro mi.

Powinna się już do tej pory nauczyć, żeby nie mieć nierealnych oczekiwań. Była w drugiej lidze. Zawsze. Piętno nieślubnego dziecka. Nick. Do diabła, nawet Quinn Everard z tymi swoimi nagrodami dla projektantów i ciętymi żartami o supermarketach.

Teraz poczuła się usprawiedliwiona, by spytać o kobietę, dla której przypuszczalnie robiła naszyjnik.

- Diament nie jest dla twojej dziewczyny?

- To było twoje założenie, którego uznałem za stosowne nie korygować.

Czuła się winna wobec wymaginowanej dziewczyny. Jest tylko flamą do wypełnienia czymś czasu spędzanego w głuszy. On się nudził, ją nosiło i była pod ręką.

Matka zawsze jej powtarzała, że nie ma nic złego w popełnianiu błędów, o ile czegoś się z nich nauczy. Najwyraźniej zdrada Nicka nie okazała się pouczająca na tyle, by nie popełniła więcej poważnych pomyłek w ocenie mężczyzn. Znała Quinna niewiele ponad tydzień - rekordowo krótki czas przed wskoczeniem do łóżka. Lecz czy miała dość sił, by trzymać się z dala od jego sypialni?

Kilka następnych dni wlokło się nieznośnie. Praca nad naszyjnikiem posuwała się wyjątkowo sprawnie, jakby cała jej frustracja przelewała się w projekt. Nie konsultując się z Quinnem, zmieniła model, który wcześniej dała mu - to znaczy jego klientowi - do zaakceptowania, i pracowała po piętnaście godzin na dobę. Organizacja ślubu Ryana i Jessiki była pod kontrolą. W domu zapanowało uprzejme zawieszenie broni.

Lecz noce wyglądały inaczej. Dani sama była swoim najgorszym wrogiem, przeżywając ponownie ich miłosne uniesienia, i jeszcze raz, i jeszcze... On był jak narkotyk, od którego okazała się uzależniona. Zaczęła usprawiedliwiać jego postępowanie. W końcu płacono jej wyjątkowo sownie, a zamówienie na ten projekt stanowiło gigantyczny

komplement zawodowy. Raczej więc nieważne, że przeznaczony jest dla klienta, a nie dla niego samego.

Poza tym wcale nie zaciągnął jej do łóżka. Praktycznie to ona go osaczyła.

Czy naprawdę oczekiwała, że z tej sytuacji może się zrodzić coś więcej? Znalazła się poza swoją ligą, zapewne nawet na innej planecie.

Pewnego wieczoru powiedział, że zmarła matka Jake'a Vance'a.

- Pogrzeb będzie w piątek. Pojedź ze mną do Sydney i odwiedź rodzinę.

- Opóźni mi to pracę nad naszymi projektami. Chciałam go skończyć przed weselem, które będzie dwudziestego.

- Spokojnie. Schowam go do skrytki bankowej tutaj. Wyczarteruję lot na czwartek po południu, a wrócimy w sobotę.

Wykorzystała to jako pretekst, by trzymać się od niego z daleka. Przez następnych kilka dni siedziała kamieniem nad robotą i prawie nie śpiąc, solidnie posunęła ją naprzód.

W samolocie zasnęła.

Budziła się powoli, oszołomiona, pełna jeszcze snów o Quinnie, tak więc nie zaskoczył ją widok jego twarzy o kilka centymetrów od niej. A kiedy musnął jej wargi swoimi, zamknęła z powrotem oczy, nawet nie myśląc o oporze. W końcu tak powinien toczyć się sen. Od czasu sprzeczki każdą noc spędzała na ponownym przeżywaniu kochania się z nim. Poddawała się pieszczotom...

- Otwórzże w końcu oczy!

Zrobiła to i prawie się wystraszyła na widok umęczonego, niespełnionego pożądania w jego oczach. Pożądania i żalu.

Przykro mu, że jej pragnie czy że ją krzywdzi?

Całkowicie rozbudzona, odetchnęła nieco niepewnie. Walące serce, nadwrażliwy biust, pulsujące wewnątrz wciąż ujawniały szalejącą w niej namiętność, ale opanowała oddech.

On także oddychał już spokojniej. Uścisk na jej nadgarstku zelżał, zmienił się prawie w pieszczotę. W końcu wzrok mu złagodniał.

- Zostaniesz ze mną na noc - powiedział.

To nie było ani żądanie, ani pytanie. Serce zabiło jej z radości. Weźmie od Quinna, ile się da.

Czas z nim był ograniczony. Wiedziała też, że po tej wyprawie będzie go jeszcze mniej. Sprzeczka oddaliła ich od siebie i fizycznie, i psychicznie. Teraz nadarzała się okazja do pożegnania w szczególny sposób. I niech szlag trafi konsekwencje.

Przez resztę lotu nie odrywali od siebie oczu. Nie całowali się nawet, tylko delikatnie dotykali. W jego oczach płonęło pożądanie, które razem z mięśniami utrzymywało ją w stanie permanentnego podniecenia przez resztę lotu do Sydney, przez ciągnącą się w nieskończoność jazdę taksówką do jego domu, przez równie ślimaczącą się podróż windą do apartamentu na najwyższym piętrze.

Pijani pożądaniem, niemal jeszcze w progu zaczęli zdzierać z siebie ubrania. Nawet nie dotarli do sypialni. Przed zamglonymi z rozkoszy oczami opartej o ścianę Dani wirowały niczym obrazki w kalejdoskopie światła miasta za panoramicznym oknem, otwierającym widok na Darling Harbour, Sky Tower, most, operę...



## ROZDZIAŁ ÓSMY

Dani odsunęła się nieco, by przyjrzeć się matce.

- Wyglądasz jakoś... inaczej. Zmieniłaś fryzurę?

Sonya Hammond zazwyczaj nosiła włosy zebrane w kok, lecz dziś pozwoliła się wymknąć kilku wijącym się lokom. A może to jej makijaż albo nietypowo kolorowa, rudawa bluzka zestawiona z eleganckimi spodniami? Jej matka była uosobieniem konserwatywnej elegancji. Dziś Dani miała wrażenie, że wygląda dużo młodziej.

Sonya z dezaprobatą cmoknęła na widok kolczyków Dani.

- Czy twoje kolczyki zawsze muszą wchodzić przed tobą?

- Wydawało mi się, że są raczej skromne. - Dotknęła prostego, złotego pręcika z płytką dymnego kwarcu na końcu. Odkąd odbudowała swoje życie w Port Douglas, niektóre z jej bardziej ekscentrycznych projektów poważnie zaskoczyły jej matkę, choć Sonya zbyt ceniła sobie indywidualizm córki, by krytykować ją inaczej niż żartobliwie.

- Siadaj. Jak to się stało, że się pokazałaś, skoro miałyśmy się widzieć za kilka dni?

- Mówiłam ci, że mam niedużą robotę dla Quinna Everarda. - Dani pochyliła się nieco i z aprobatą pociągnęła nosem nad wazą. - Mmm... Zupa dyniowa.

- Nie mogę uwierzyć, że miał czelność się do ciebie zwrócić po tym wszystkim, co ci zrobił.

Dani spróbowała zignorować ukłucie urazy wywołane słowami matki.

- Przyjechał tu na dzisiejszy pogrzeb, więc zabrałam się z nim. Potrzebne mi też buty na ślub.

- Jakiego koloru masz suknię? - spytała szybko Sonya. - Zresztą nie mów. Spróbuję się niczym nie sugerować.

Pojawiła się Marcie z miskami na zupę i półmiskiem gorącego chleba tureckiego. Matka Dani popatrzyła znacząco na wazę.

- Jedz, ja mam spotkanie. Ryan zabierze mnie lada chwila.

Dani naląła sobie trochę zupy do miski.

- Sądziłam, że chciałabyś wszystkiego dopilnować - powiedziała sucho - ale kolacja może być później.

Sonya była zakłopotana.

- Nie mogę, kochanie. Mam ważne spotkanie. Hm, idę do teatru.

- O? - Coś nietypowego. Sonya niezmiernie rzadko wychodziła wieczorami. Nowe ciuchy, nowa fryzura, spotkania... - Z kim?

- No, z Garthem.

- Ile on ma lat? - Dani poczuła ulgę.

Garth Buick był sekretarzem firmy Blackstone'ów, odkąd sięgała pamięcią. Najprawdopodobniej najbliższy przyjaciel Howarda, z tego, co pamiętała, miły człowiek. Od kilku lat wdowiec.

- Nie jest stary - zaprotestowała matka, trochę ostrym tonem. - Jest bardzo sprawny.

Łyżka zawisała Dani w połowie drogi do ust. Przez chwilę kobiety patrzyły sobie w oczy. Sonya pierwsza zarumieniła się i odwróciła wzrok.

- Zamknij usta, Danielle. To tylko przyjaźń. Uczy mnie żeglować.

- Jasne - wykrztusiła Dani słabo. - To wspaniale, naprawdę.

I to prawda, powiedziała do siebie. Matka poświęciła swoje życie wychowaniu córki i dzieci Howarda, obsłudze go i prowadzeniu mu domu. Całkowicie zrezygnowała z jakichkolwiek kontaktów poza rodziną albo z winy postępowania ojca Dani, albo tylko jej nieodwzajemnionej miłości do niego.

Dani zastanawiała się, jak to jest kochać kogoś tak mocno, że nigdy więcej nie chce się tego zaryzykować.

Czy Quinn nadal kochał swoją żonę? Czy wciąż tęsknił za nią, każdą kobietę porównywał z nią?

Sonya uśmiechnęła się z rezygnacją.

- Widzę, co ci chodzi po głowie, dziecko. Biedna, stara mamusia, wysuszona jak śliwka, marniejąca z miłości do Howarda. - Dani potrząsnęła głową. Jak ta kobieta to robi? - Jednak nie - ciągnęła matka. - Był tak zrozpaczony po śmierci Ursuli, że wiedziałam, że nigdy już nie zaryzykuje całkowitego oddania komuś serca. Ja zaś nie zamierzałam znaleźć się na długiej liście porzuconych przez niego kobiet.

Mądra kobieta, bo dokładnie tak sprawy się potoczyły. Howard stał się niepoprawnym kobieciarzem i z żadną ze swoich kochanek nigdy się nie związał. Matka westchnęła.

- Równie dobrze mogę to już mieć za sobą. Dzisiaj mam spotkanie z agentem nieruchomości. Oglądam dom w Double Bay.

- Ale... - Dani była oszołomiona. Matka opuszczająca Miramare? - Masz dożywotnie prawo do mieszkania w tym domu. - Howard o to zadbał.

Obie rozejrzały się po pomieszczeniu. Pokoje na parterze, w których wychowała się Dani, były o wiele mniej wystawne od reszty domu, wciąż jednak roztaczał się z nich fantastyczny widok na przystań w Sydney i Ocean Spokojny. Dani nie umiała sobie wyobrazić matki w żadnym innym miejscu.

- Obijam się tu teraz samotnie od ściany do ściany - powiedziała Sonya z zadumą. - A co, jeśli pojawi się James Blackstone? Howard był pewien, że on żyje. W przeciwnym razie nie pozostawiłby mu posiadłości w testamencie.

- To jest twój dom. Masz do niego pełne prawo. James, jeśli istnieje, będzie się musiał z tym pogodzić. - Odsunęła miskę, nagle straciwszy apetyt. - Poza tym, co z Marcie?

- Dla Marcie miejsce będzie zawsze. Ona wie.

- Rozmawialiście o tym? - Dani była nieco oburzona, że matka nie podzieliła się tą informacją z nią jako pierwszą.

- Rozglądam się tylko, kochanie - rzuciła matka lekkim tonem. - Gdy Garth powiedział mi, że tamten dom jest do kupienia, postanowiłam na niego zerknąć, to wszystko.

- Garth powiedział... Zaraz, zaraz, czy on nie mieszka w Double Bay? - Dani nie mogła zdecydować, czy się czuć urażona, czy zachwycona. W końcu zwyciężyło to drugie uczucie. Czas, by po tych wszystkich latach myślenia wyłącznie o innych Sonya pomyślała o sobie.

- Nie przeprowadzam się przecież do Gartha. Po prostu szukam mniejszego domu, a ten przypadkiem jest o kilka numerów od niego.

Marcie podeszła do stołu.

- Przygotowałam ci łóżko.

- Och... Nie zostaję na noc.

Tym razem to ona wzdrygnęła się niepewnie pod spojrzeniem dwóch par oczu.

- Przecież, do licha, mam dwadzieścia siedem lat!

Marcie uciekła, uśmiechając się szeroko.

- Czy jest równie atrakcyjny, jak na zdjęciach? - spytała Sonya.

Dani wzruszyła ramionami. Gdyby miała opowiedzieć o tym, jak bardzo Quinn Everard ją pociągał, siedziałyby tu cały dzień.

- Lubisz go, Danielle? - naciskała matka.

- Czy w innym wypadku spędzałabym z nim noc? - Ostre spojrzenie matki powodowało, że znów czuła się jak dziesięciolatka. - Może i tak, ale jest spoza mojej ligi.

- Z takim obciążeniem musi ci być niełatwo.

- Nie znasz go. Ma dobre maniere. - Choć czasami bywa twardy... - Wie, czego chce. Dobrze się czuje ze sobą, ze swoim otoczeniem, zdolnościami. Osiąga to, nie sprawiając, by podlegli mu czuli się gorsi. Nawet jeśli w sposób boleśnie rzeczywisty są.

- Lubisz go - powiedziała Sonya miękko. Dani nie umiała znaleźć dobrej riposty. - Może byście oboje przyszli dziś na obiad i poszli ze mną i Garthem do teatru? - dodała.

Dani potrząsnęła głową.

- Wróci bardzo późno.

- Och! - Sonya sprawiała wrażenie zawiedzionej. - W takim razie ty sama.

- Nie zamierzam grać roli przyzwoito. - Co prawda cieszyła się, że jej matka gdzieś wychodzi, ale jakaś jej mała część chciała by się nad tym zastanowić. - Naprawdę mam dużo do załatwienia w czasie tej krótkiej wizyty - skłamała i postanowiła zmienić temat. - Nie zgadniesz, kto mnie odwiedził w zeszłym tygodniu. Matt Hammond.

Sonyi zaświeciły się oczy. Dani spodziewała się tego. Wygrzebała z torby otrzymane od kuzyna zdjęcia Blake'a. Matka porwała je łapczywie.

- Co więcej - ciągnęła - chciałaby, żebym zrobiła dla niego dziedziczny naszyjnik z diamentów Róży Blackstone'ów, choć nie jestem pewna, czy tę wiadomość należy rozgłaszać.

- Nie wierzę! Jaki jest? Opowiedz mi wszystko!

- Miły. - Przynajmniej tak sądziła, bo pasowali do siebie, choć to wrażenie było skażone podsłuchaną później rozmową. - Naprawdę.

- Niezbyt przekonująco mówisz - powiedziała matka z wahaniem.

- Ależ jestem pewna. To tylko jego biznesowa rozmowa z Quinnem.

Odezwał się dzwonek u drzwi i Sonya spoważniała.

- Nie teraz. Ryan zaraz tu będzie.

- Nie mów mu o Matcie - szepnęła Dani.

Ryan ucieszył się na jej widok i przez kilka minut rozmawiali o planach weselnych. Była zachwycona szczęściem, jakim promieniował. Z Jessicą oczekiwali za kilka miesięcy bliźniąt. Powiedział, że jego narzeczona wręcz kwitnie, ale martwi się, że nie zmieści się w suknię ślubną.

- Co cię sprowadza do Sydney? - zapytał.

- Potrzebne mi specjalne buty na wesele - wyjaśniła.

Przewrócił oczami do Sonyi.

- Boże, dopomóż...

Styl ubierania się Dani na takie okazje był legendarny.

- Nie bądź złośliwy - mruknęła. - To wesele kosztowało mnie mnóstwo pracy. A najgorsze było trzymanie wszystkiego w tajemnicy.

Przeprowadzka do domu Quinna, jego sypialni, odkrywanie jego ciała, cieszenie się jego dotykiem... i wszystko inne, byle tylko nie wygadać się o ich ślubie.

Uśmiechnęła się, zniecka czując przypływ sympatii do Ryana Blackstone'a.

- Quinn wybierał się tu na pogrzeb, więc zabrałam się z nim.

- Sonya mówiła mi, że robisz coś dla niego. Zaskoczyło mnie to, biorąc pod uwagę twoją przeszłość.

- Wymagania klienta.

- Jessica trochę zna Quinna. Wydaje mi się, że go lubi. - Uśmiechnął się. - Tylko że teraz lubi chyba wszystkich.

Oczy Dani prawie się zaszklily na widok szczęścia Ryana. Zawsze był raczej smutny, z powodu porwania brata i samobójstwa matki. W myśli pożyczyła kuzynowi jak największego szczęścia.

- Kto umarł? - spytał. - Chodzi mi o pogrzeb, na który wybrał się Quinn.

- Matka Jake'a Vance'a.

- Słyszałem, że Everard i Vance byli dobrymi znajomymi. Czy Quinn wspominał coś o zakusach Matta Hammonda? - Dani potrząsnęła głową, nie patrząc na Sonyę. - Zdaje się, że w zeszłym tygodniu był w mieście, z wizytą u Vance'a. Krążą plotki, że we dwóch organizują przejęcie Blackstone. Z tego, co wiem, Matt nakłaniał wszystkich akcjonariuszy do poparcia.

Sonya chciała coś powiedzieć, ale Dani kopnęła ją w kostkę. Co by komu przyszło z powiedzenia Ryanowi, że Matt był w Port i rozmawiał z Quinnem o interesach? W końcu przecież Quinn mu odmówił.

Sonya rozsądnie zmilczała.

Wysadzili Dani przy przystanku autobusu jadącego do centrum i pojechali na spotkanie w sprawie nieruchomości. Lecz nawet perspektywa poszukiwania butów nie zmniejszyła rosnącego w niej niepokoju. Czy powinna ostrzec Blackstone'ów o powiązaniach między Jake'em, Mattem i Quinnem? Czy była niełojalna wobec rodziny, która wspierała ją przez całe życie?

Użyła klucza danego jej przez Quinna, żeby wejść do jego mieszkania. Bolały ją stopy i marzyła o jego wielkiej, japońskiej wannie, więc dość nieprzyjemnie zaskoczyła ją głośna rozmowa.

Wokół centralnej grupy mebli w kuchni Quinna stały cztery osoby. Piękna kobieta o długich, zebranych z tyłu, siwiejących włosach. Wysoki, szczupły mężczyzna obejmował lekko jej ramiona. Quinn też był, obejmując jeszcze kogoś - piękną blondynkę o wyrazistych oczach, uczesaną w kok, ubraną w liliowy kostium.

Dani miała dość.

Lecz wtedy Quinn spojrzał na nią i poczuła się, jakby padło na nią światło punktowego reflektora.

- Ja... przepraszam - wyjąkała. - Nie chciałam przeszkadzać. - Boże, co oni sobie pomyślą? Miała klucz! - Sądziłam, że jeszcze nikogo nie ma.

Wtedy Quinn podszedł do niej i z błyszczącymi oczami wciągnął ją do grupy.



- To jest Dani - powiedział bardzo ciepło, jakby czekał na jej przybycie, bardzo chcąc ją przedstawić.

W sumie to spotkanie okazało się nawet lepsze od kąpeli. Przywitała się z jego rodzicami, Gwen i Josephem, oraz z Lucy, przybraną siostrą.

Byli hałaśliwi, nieco nieprzyzwoici i tak sobie bliscy, że kończyli zdania za siebie. Zobaczenie Quinna w tym świetle było niesamowite. Jego rezerwa, okazywana poza sypialnią, oddalała wszystkich od niego, zdawał się absolutnie nieprzystępny. Jego rodzice byli zupełnie inni. Przy nich on też się zmieniał. W kuchni panowała atmosfera ciepła, humoru i wzajemnej troski. Dani bardzo kochała matkę, ale nigdy nie zdarzyło jej się stać w kuchni w otoczeniu rodziny, popijając, żartując i dzieląc się wspomnieniami.

Owszem, dla Everardów ten dzień był smutny, ale jak to się często zdarza przy pogrzebie, ulga, że ma się go już za sobą, objawia się potrzebą paru drinków.

- Zwłaszcza jeśli się jest Irlandczykiem! - zawołał Joseph, podnosząc szklaneczkę. Quinn potrząsnął lekko głową, pochylając się ku Dani.

- On nie jest - szepnął.

Przypomniała sobie napięcie towarzyszące pogrzebowi Howarda; dystans, bezustanne wścibstwo mediów, wzajemne obserwowanie się dla sprawdzenia, czy nikt nie wypadł z roli, zastanawianie się, kto zna które fakty z pełnego wydarzeń życia zmarłego.

Wszystko to wydawało się odległe o milion mil. Przejęcia firm także. Wymieniła się przepisami na babeczki jagodowe z Gwen, Joseph poprosił ją do zapierającego dech w piersi tańca przy piosence Leonarda Cohena, a Lucy po cichu wyznała, że znalazła pod kanapą jej majtki.

- Musiały należeć do innej jego dziewczyny - broniła się Dani. - Ja takich nie noszę.

- Nie sądzę - zaśmiała się Lucy. - Nigdy nie zaprasza kobiet, by tu z nim pomieszkiwały.

Wszyscy wyszli po kilku godzinach i Quinn zamówił dostawę spaghetti, które zjedli w wannie. Leżała oparta o niego. Oczy mu się zamykały, a ona ostrzegała samą siebie, żeby uważać na swoje serce. Zdawkowa uwaga Lucy, ciepło w jego oczach, gdy tra-



fiła na przyjęcie... tkwiło w tym niebezpieczeństwo robienia sobie nadziei, że kiedyś może zostać przyjęta do tego kręgu miłości, który przelotnie dane jej było zobaczyć.

Zdała sobie sprawę, że jest na najlepszej drodze do zakochania się nie tylko w Quinnie, ale i w jego wizji rodziny.

Kiedy wszedł do salonu, zastał Dani stojącą przed oknem, z torbą u stóp, patrzącą na Sydney.

Chciał ją tutaj zobaczyć, sprawdzić, czy pasuje. A jeśli tak, zamierzał skonfrontować ją z rodzicami. Tylko że uprzedzili jego zamysły, wprasząc się wczoraj.

I czyż nie poszło świetnie?

Pełne uprzejmości napięcie kilku ostatnich dni w Port Douglas wyczerpało go. Degradacja z roli kochanka do szefa nie powinna obchodzić mężczyzny, który od śmierci Laury ani przez chwilę nie myślał o stałym związku. Aż do teraz w ogóle nie zastanawiał się, czy coś traci.

Nie spodziewał się, że znajdzie tyle radości.

Dani odwróciła się i uśmiechnęła. Zebrał się w sobie.

- Spakowana?

Nie miał pojęcia, jaki będzie kolejny krok, lecz zdawał sobie sprawę, że w przypadku Dani Hammond wszystko jest możliwe.

Skinęła głową i sięgnęła po torbę, w tym momencie odezwał się telefon. Dzwonił sir John Knowles, były premier, ustępujący gubernator, bliski przyjaciel i mentor Quinna. Musiał odebrać.

Wyszedł do gabinetu. Po bardzo krótkim wstępie sir John przeszedł do rzeczy. Z osłupieniem Quinn wysłuchał wyznania wręcz wstrząsającego posadami świata. Cały jego spokój rozsypał się w gruzy.

- Taksówka czeka. - Dani stała w drzwiach z torbą w rękę.

Quinn przykrył mikrofon dłonią.

- Muszę porozmawiać. Idź, spotkamy się na lotnisku.

Wyszła, a on wrócił do rozmowy. Znając już fakty, nie miał wyboru.

- Wycofuję się, John. - Cichy głos starszego człowieka zmienił ton na błagalny. Jak może się od niego odwracać? - Jestem osobiście zaangażowany. W takiej sprawie nie będę kłamał.

- Proszę, Quinn, jeszcze kilka dni. Nie błagałbym cię, gdybyś nie był moją ostatnią szansą.

- W takim razie pozwól, żebym ja jej to powiedział.

- Nie mogę zaryzykować jej odrzucenia, nie rozumiesz? Nie powiedziałem jeszcze Clare. O rokowaniach, o niczym.

W głosie starszego człowieka brzmiały cierpienie i samotność. Jego ostatnia szansa. Quinn słyszał to już wcześniej, żył z własną porażką przez długie lata.

Lecz to było straszne świństwo.

- Nie wiesz, o co prosisz.

- Wiem, możesz mi wierzyć. Nie zwróciłbym się do nikogo innego, bo wiem, że ty mnie nie zawiedziesz.

- Quinn, pójdziesz ze mną na ślub?

Dani była pełna obaw. Plotki, o których wspominał Ryan, teraz nagłaśniano w telewizji. Akcjonariusze Blackstone Diamonds byli zaniepokojeni, pomimo ogłoszonych dziś rano w prasie zapewnień Kimberly, że wszystko jest w porządku.

- To nie najlepszy pomysł - rzekł powoli.

- Dlaczego nie?

- To rodzinna impreza. Biorąc pod uwagę wydarzenia ostatnich miesięcy, wszyscy będą pewnie spięci. Moje przeszłe starcia z Howardem na pewno wywołają komentarze. Nie chcę nikogo drażnić.

- Nie sądzę, by ktokolwiek...

- Powiem ci, jeśli zmienię zdanie, dobrze? Jak idzie z naszymi klientami?

- Dobrze.

- Klient podał nieprzekraczalny termin - dwudziestego piątego.

Zdażę, pomyślała Dani, zakładając, że będzie mogła skupić się na pracy zamiast się zastanawiać, co Quinn Everard knuje.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

- Zobacz, kogo zastałam pod drzwiami. - Dani właśnie wychodziła odebrać z lotniska kilku członków klanu Blackstone'ów, kiedy pojawił się przed nią Jake Vance. Została gością z Quinnem, przeprosiła ich i wyszła.

Uśmiech Quinna zbladł na widok poważnej miny przyjaciela. Jake nie wpadł ot, tak sobie.

- Kawy?

- Masz coś mocniejszego?

Quinn przymrużył oczy, ale wyjął butelkę koniaku.

- Mój stary druh Hennessy. - Jake skinął głową z aprobatą.

Quinn nalał dwie porządne porcje.

- Nic dziwnego, że tak znikłeś. - Jake kiwnął głową w stronę drzwi, za którymi zniknęła Dani. - Staranniej niż zazwyczaj.

Quinn milczał, pociągając koniak i czekając, aż Jake przystąpi do rzeczy. W końcu gość pochylił się i odstawił kieliszek na blat.

- Poważnie wpadłeś - skomentował.

- Przecież nic nie powiedziałem - zaprotestował Quinn.

- Właśnie - odparł Jake z zadowoleniem. - Nieczęsto miewasz dziewczynę mieszkającą w twoim apartamencie.

- Skąd ty...

- Lucy.

- Odzywacie się do siebie?

- Nie denerwuj się. Zadzwoiła następnego dnia po pogrzebie, przed odlotem do Anglii. Zwyczajny telefon z pozdrowieniami.

- Obawiała się, że nie będziesz sobie życzył jej obecności na pogrzebie - mruknął Quinn. Jake załamał się, kiedy Lucy porzuciła go po kilku wspólnych latach. Quinn usiłował nie brać strony żadnego z nich, bo oboje byli mu drodzy.

Jake wzruszył ramionami.

- Byłem wdzięczny.

- Co cię tu sprowadza? Bessa na rynku?

Miał nadzieję, że nie ma to nic wspólnego z Mattem Hammondem i jego udziałami w Blackstone Diamonds.

Jake pociągnął solidny łyk trunku.

- W pośredni sposób dotyczy to damy, która właśnie tak spieszenie stąd wyszła. - Spojrzał na Quinna poważnie. - Napij się, bo to będzie szok.

Quinn słuchał osłupiały relacji najlepszego przyjaciela, który mówił o tym, co matka zdradziła mu krótko przed śmiercią. Wyznała, że nie jest jej biologicznym synem. Znalazła go, dwulatka, na miejscu poważnego wypadku drogowego. Samochód spadł do wody, pozostali pasażerowi nie żyli.

- Myślałem, że majaczy. A kiedy utrzymywała, że jestem synem Howarda Blackstone'a, byłem pewien, że to halucynacje.

Quinn miał oczy jak spodki. Uniósł rękę.

- Zaraz. To było przed jej śmiercią?

- Nie wspominałem o tym na pogrzebie, bo... no cóż, po prostu w to nie wierzyłem. Lecz potem starannie przeszukałem dom. - Otworzył teczkę leżącą na sąsiednim fotelu i wyjął duży album. - Wszystko jest tutaj, Quinn. Boże wszechmogący, nigdy w życiu nie byłem tak przerażony.

Quinn wziął butelkę, wstał i dolał gościowi do pełna. Oparł się o biurko i zaczął przeglądać album. Jake kontynuował:

- Jak zostałem porwany jako dwulatek przez gosposię i jej chłopaka. Jak wysłali żądanie okupu i Howard zrobił wszystko, by mnie odzyskać, lecz w drodze po pieniądze wydarzył się wypadek.

Quinn zerkał na niego od czasu do czasu, czytając wycinki prasowe. Usiłował wyobrazić sobie ciemnowłosego chłopczyka ze zdjęć jako dorosłego mężczyznę. Patrzył na ciemnozielone oczy Jake'a, kruczoczarne włosy i wyraźnie za wysokie czoło, którego zapowiedź była widoczna na fotografiach.

- Matka przypadkiem znalazła się na miejscu wypadku, a potem wszystko się komplikowało. Rok wcześniej straciła dziecko na SIDS<sup>4</sup> i właśnie uciekła od swojego partnera. Zamierzała zaszyć się gdzieś, gdzie nikt jej nie znał. Tak czy siak, w tamtej chwili była chyba trochę niepoczytalna: hormony, żal, cokolwiek, nazwij to, jak chcesz. Zabrała mnie więc i podawała za własne dziecko.

<sup>4</sup>SIDS (*Sudden Infant Death Syndrome*) - zespół nagłego zgonu niemowląt: to gwałtowna śmierć zdrowego niemowlęcia w czasie snu. (*przyp. tłum.*)

Quinn dotarł do ostatniej strony i zatrzasnął album. Daty się zgadzały, choć w takim razie Jake byłby o rok starszy. Albo to prawda, albo wyjątkowo misterne oszustwo. Ale dlaczego April, matka Jake'a, miałaby kłamać tuż przed śmiercią, kiedy już nie miała nic do stracenia?

- Mój Boże - westchnął. - Jesteś Blackstone'em!

- Nie jestem Blackstone'em! - warknął Jake i ukrył twarz w dłoniach. - Co ja mam teraz, u diabła, zrobić?

Rozmawiali i pili całe popołudnie. Quinn sugerował test DNA dla sprawdzenia, czy April naprawdę nie była jego biologiczną matką.

- Już to zrobiłem - powiedział Jake. - Wyniki będą za parę dni.

Zgodzili się, że powinien porozmawiać ze swoimi prawnikami i księgowymi. Powszechnie było wiadomo, że klauzule w testamencie Howarda Blackstone'a zawierały sześciomiesięczne opóźnienie w wypłatach, na czas poszukiwania Jamesa.

Małe były szanse, by żyjący Blackstone'owie przyjęli go z otwartymi ramionami. Zamysły Matta Hammonda zmierzające do wywołania burzy w zarządzie firmy stanowiły dodatkową komplikację.

- Potrzebujesz Matta po swojej stronie, jeśli zwrócą się przeciwko tobie - ostrzegł go Quinn. - I uważaj na siebie. Ryan i Ric Perrini to starzy wyjadacze. Nie ufaj nikomu. Blackstone'owie mają gdzieś przeciek.

Tego był pewien. Tak właśnie trafił na plany ślubne Ryana i Jessiki.

Kiedy Dani w końcu wróciła, zajrzała do gabinetu z pytaniem, czy nie chcą kawy. Odmówili, choć pewnie by się im przydała, biorąc pod uwagę stan butelki.

- Nie obawiaj się - uspokoił Quinn przyjaciela, który niepewnym wzrokiem patrzył za Dani. - Zachowam to dla siebie.

- Traktujesz ją serio?

Pytanie za milion dolarów, pomyślał Quinn.

- Zdefiniuj „serio”.

- W tej chwili nie potrafiłbym zdefiniować najprostszej rzeczy.

Quinn długo już się zastanawiał nad tym pytaniem, ale mało się zbliżył do odpowiedzi. Rozważył związki, które były dla niego ważne. Był dumny z Lucy, która wydołała się z samego dna, jak z prawdziwej siostry. Obserwowanie, jak Jake staje się pewnym siebie, odnoszącym sukcesy biznesmenem wielkiego kalibru, było jedną z największych przyjemności w jego życiu. Nie miał wątpliwości, że Jake poradzi sobie z Blackstone'ami. Jego rodzice wciąż mieli motywację do naprawiania wszystkiego dookoła siebie. Teraz walczyli o fundusze na zakup wozu kempingowego, by uczynić z niego ruchome centrum pomocy dla dzieciaków z gorszych ulic Newtown.

Kochał ich i był dumny ze swojego udziału w ich sukcesach. Dzielenie się nie było dla niego niczym nowym. Żył, dzieląc się wszystkim, do śmierci Laury - a potem nie miał już nic... Tylko jakoś nie mógł się wydostać z Port Douglas...

Pracował z pasją, odnosił wielkie sukcesy, lecz właściwie robił dokładnie to samo co pięć lat temu, podczas gdy inni poszli naprzód.

- Zawsze czułem - powiedział - że to nie w porządku żądać od kobiety, by siedziała i czekała, gdy ja się rozbijam po całym świecie.

- Kłamczuch! - zakpił Jake. - Nigdy w ogóle nawet nie pomyślałeś, by kobietę o to poprosić.

- Jest pewna dama w Mediolanie. Spędzam z nią jedną, dwie noce co kilka miesięcy. Lubię ją, ale oboje wiemy, że to wszystko. Pamiętam o jej urodzinach, kupuję jej miłe prezenty, zabieram ją gdzieś... - Opróżnił kieliszek. - Ale nic więcej. I było mi z tym dobrze, psiakrew!

- Najwyższy czas. - Jake wstał, podszedł do biurka i wlał resztki z butelki do kieliszka przyjaciela.

- Co ty powiesz! - warknął Quinn. Spoważniał.

- Ona jest inna niż wszystkie. Każda chwila z nią jest zajmująca. Zmienacka całe moje życie, którym się tak cieszyłem...

- Jest do kitu - uzupełnił Jake współczująco.

- Nie! - Quinn dopił trunek i oczy mu się zaszklily. - Tylko wydaje się trochę nieudane. To wszystko.

Po wsadzeniu Jake'a do taksówki i odesłaniu go na lotnisko, z lekkim bólem głowy po koniaku poszedł szukać Dani. Leżała w wannie, w kłębach pachnącej piany, obgryzając paznokcie. Dotknął lekko jej ręki.

- Niedługo wychodzisz?

- Nie sądzę, żebyś chciał pójść ze mną.

Usiadł na brzegu wanny. Od pary i brandy kręciło mu się w głowie. Na pewno nie miał ochoty spędzić wieczoru z Blackstone'ami.

Może jednak mógłby pomóc Jake'owi poznać nieco dynamikę w tej rodzinie? Kto jest na szczycie, kto najprawdopodobniej będzie walczył z jego pojawieniem się i kto - jeśli w ogóle ktokolwiek - może podać pomocną dłoń.

Zaczął mu się krystalizować pomysł.

- Quinn, czy mówiłeś komukolwiek o ślubie?

- Nie.

- Hm... Znam Port Douglas i coś wisi w powietrzu. Wyczuwam fotografów na kilometr.

- Podejrzewasz, że to ja podsunąłem coś prasie?

- Nie - odparła. - Tylko sądzę, że coś się dzieje, coś niedobrego.

W ostatniej chwili powstrzymał się od wypowiedzenia: „Z nami?”. Zanurzył dłonie w pianie i przetarł twarz.

- Chyba zasłużyłem sobie na podejrzenia. - W końcu posłużył się tym ślubem, by ją zaszantażować. Jeśli poważnie rzecz rozważyć, wszystkimi swoimi kłamstwami, wszystkimi sekretami zasłużył na stryczek, ćwiartowanie i utopienie. Tajemnice w tajemnicach. Właśnie kiedy uznał, że mógłby z nią zaryzykować, łups! I znów łups! Najpierw sir John, potem Jake. Co jeszcze? I jak to wszystko przed nią usprawiedliwi?



- Nie pomyślałam, że skontaktujesz się z mediami. Tylko... - westchnęła i sięgnęła po gąbkę, wysuwając kolano nad wodę. - Tylko chciałabym, żeby ten dzień był dla Ryana i Jessiki perfekcyjny.

Perfekcyjny? Quinn wiedział, co takie jest. Gładkie kolano pokryte pianą. Nagle poczuł przyływ podniecenia.

- Jake - wychrypiał. - Prasa będzie polować na niego.

Pełen ulgi uśmiech rozświetlił jej atrakcyjne usta.

- Tak sądzisz?

- Wszędzie przyciąga uwagę. Dokończyć? - spytał, wskazując na gąbkę opartą na kolanie.

- A tak w ogóle, co on tu robił?

Quinn zabrał jej gąbkę.

- Wpadł w interesach. Wystaw nogę.

- Nogę? - Zawahała się. Przypuszczalnie oczekiwała bardziej rozbudowanej odpowiedzi na swoje pytanie.

Quinn spojrzał jej w oczy, namoczył gąbkę. W jej wzroku błysnęło zrozumienie. Do diabła z Jake'em. Do diabła z Blackstone'ami, z akcjami, ze zmieniającymi życie tajemnicami. Woda zaszumiała, gdy wyłoniło się zaróżowione od gorąca udo i piękna łydka. Quinn chwycił stopę i zaczął ją szorować. Odchrząknął.

- Dużo myślałem. Może jednak zmienię zdanie co do pójścia na ślub?

Jej uśmiech nappełnił go ciepłem.

- Podziękuję ci dziś w nocy - obiecała.

Quinn umył jej udo i łydkę. Woda spływała mu po rękach, na nogi. Coś musiało być z nim nie tak, skoro ciepło i wilgoć tylko zwiększyły jego pożądanie.

- Jak długo mam cię szorować, zanim wyjdiesz...?

# ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

W końcu nadszedł dzień ślubu.

Quinn zapukał i powiedział, że samochód już jest. Dani czuła się strasznie niepewnie. Czy spodoba mu się jej suknia? Czy rodzina go polubi i vice versa? Co Jake tam robi? Dlaczego media są wszędzie, gdzie się ruszy?

A w dodatku Quinn nagle postanowił jej towarzyszyć. O co w tym wszystkim chodzi?

Dołączyła do czekającego na dole Quinna, ciesząc się błyskiem jego oczu obserwujących ją idącą po schodach.

A także, czy on odejdzie na dobre, gdy ona już skończy naszyjnik? Tego najbardziej się obawiała.

Pojechali na lądowisko helikopterów i w kilka minut później znaleźli się w powietrzu, nad lasem deszczowym, kierując się na plażę odległą tylko o kilka kilometrów na południe.

Z kurortu van Berhopt roztaczał się wspaniały, niczym nieograniczony widok na dżunglę i morze. Zbudowany na wzgórzu wydawał się zawieszony nad plażą. Mimo że cały ze stali i szkła, jakoś się wpasowywał w otoczenie. Przez bardzo niepokojącą chwilę

Dani myślała, że wylądują na wielkim, zakrzywionym dachu.

- Spektakularne! - krzyknął jej do ucha Quinn, gdy, dzięki Bogu, helikopter osiadł kilkaset metrów od głównego budynku.

Potrafiła sobie wyobrazić reakcje gości weselnych, których parami przywożono do tego samotnego rajku. Do budynku dojeżdżali wózkami golfowymi. Przyjęcie miało się zacząć o wpół do piątej, koktajlami i przekąskami, potem miała nastąpić ceremonia ślubna. Po niej miał być dostępny wystawny bufet, oferujący najlepsze dania tropikalnej północy. Tylko nowożeńcy mieli tu zostać na noc. Dla gości były przygotowane limuzyny, które odwiozą ich do hoteli w Port. W ślubie uczestniczyło niewiele osób, zaledwie dwadzieścioro z rodziny i ich przyjaciele.

Quinn Everard, elegancki i nieprzyzwoicie przystojny w swoim platynowej barwy garniturze i krawacie w srebrne paski, był idealną osobą towarzyszącą na odbywający się

w tropikach ślub. Jego stonowany chłód w kontraście z jej pstrokacizną. Dani z dumą wzięła go pod rękę i przeszła przez hol nad basen, gdzie zebrali się pozostali goście. Ryan i Jessica przyjechali pierwsi, by zająć przeznaczony dla nich apartament. Wokół basenu siedziało kilka par obsługiwanych przez kelnerów w białych marynarkach. Błyski ich tac odbijały się w błękitnej wodzie. Dani zamachała do Sonyi i Gartha po drugiej stronie i zebrała się w sobie, by przedstawić Quinna Blackstone'om.

- No, no - powiedział Ryan, podchodząc. - Quinn Everard, jak sądzę. - Wyciągnął dłoń. - Witamy w jaskini lwa.

Quinn uśmiechnął się i przyjął powitanie.

- Gratulacje, Ryan. Miło jest się tu znaleźć.

Jessica podstawiała mu policzek.

- Jak miło cię widzieć, Quinn.

- Jessico, wyglądasz oszałamiająco.

Mówił prawdę. Lśniła w wysadzonej kamieniami sukni w kolorze szampana, na jej staniku widniała wspaniała zapinka z różowozłotych i różowych diamentów.

- Podarunek od Ryana - szepnęła do Dani, która tak się zachwyciła broszką, że instynktownie wyciągnęła rękę, by jej dotknąć. Wspaniała suknia ukrywała zaokrąglony brzusek panny młodej.

Kiedy Quinn i Ryan wybierali drinki z tacy, Jessica uściskała Dani.

- Nie wiem, jak ci dziękować za twoje wysiłki. To miejsce odebrało mi dech w piersi.

- Miałam nadzieję, że ci się spodoba.

- Wszystko jest wręcz perfekcyjne, Danielle. Dekoracje, pogoda, wybrane przez ciebie menu i, Boże, apartament! Nie chcę stąd wyjeżdżać przynajmniej przez tydzień!

Wzięła Dani pod rękę i odeszła kilka kroków.

- Wyglądasz prześlicznie. Ten kolor nie powinien tak sensacyjnie grać z twoimi włosami...

Dani zwłaszcza ze strony matki spodziewała się pewnych wątpliwości co do swojej sukni. Bez ramiączek i pleców, z jasnopomarańczowego materiału. Za to szyfonową, wierzchnią spódnicę uszyto z tysięcy zachodzących na siebie pasków w kolorach głębo-

kiego rózu i ostrego pomarańczowego. Kiedy się poruszała, suknia mieniła się jak zachód słońca.

- Wyglądacie z Quinnem bardzo miło.

- Doceniam zaproszenie w ostatniej chwili.

Jessica skinęła głową.

- Kilka razy spotkałam go na pokazach i wystawach biżuterii. Jest czarujący i zna się na rzeczy. Oraz bardziej przystojny, niż to przystoi mężczyźnie.

Dani sięgnęła po przekąskę z oferowanej jej tacy i pomyślała, że raczej nie będzie się spierać z tą oceną Jessiki.

Ryan przyjrzał jej się badawczo.

- Czy on jest tylko częścią obowiązków służbowych, czy też istnieje szansa na bardziej stałą pozycję?

- Chyba zachowam to w tej chwili dla siebie, potworze. - Zatrzymała się. Jej uśmiech zgasł. - Widziałeś?

Jej matka i Garth tańczyli na parkiecie razem z nieznaną jej parą. Uświadomiła sobie, że widzi bardzo starannie dopracowane tango.

- Czy Sonya mówiła ci, że biorą lekcje? - spytał.

- Nie, wspominała tylko o żeglowaniu. - Dani popiła szampana. - Dobrze razem wyglądają.

- Dobrze im razem - sprostowała Jessica.

Dani poczuła ukłucie żalu, że nic nie wiedziała, choć związek wydawał się raczej zaawansowany. Otrząsnęła się z tego. Matka nigdy nie wyglądała lepiej i Dani bardzo to cieszyło. Potrzeba tylko trochę czasu, żeby się przyzwycząić.

- Jeszcze w zeszłym tygodniu zbyła mnie bzdurą, że są tylko przyjaciółmi. - Podeszła do Quinna i wsunęła mu rękę pod ramię. - Chodźmy się przywitać z moją mamą, zanim w tańcu wpadnie do basenu i zostanie spłukana do morza.

Quinn i Sonya dogadali się natychmiast, a Garth, sekretarz firmy Blackstone i wieloletni przyjaciel Howarda, nie okazywał żadnych uprzedzeń do towarzysza Dani. Kimberly też przywitała go ciepło.

Za to ze strony Rica Perriniego Dani wyczuła pewną rezerwę. Nie potrafiła dojść, o co chodzi, więc postanowiła się tym nie przejmować, nie chcąc, by cokolwiek zakłóciło wspaniały ślub, który pomogła zorganizować.

Ryan i Jessica pobrali się w świetle zachodzącego słońca, rozświetlającego ocean. Jakby na zamówienie kakadu zaczęły swój koncert o zmroku. Ceremonia była piękna, we wspaniałej oprawie, niemal wszystkie kobiety miały oczy pełne łez.

Potem wszyscy napełnili sobie talerze porcjami krabów, ostryg, rozmaitych ryb i wieloma innymi delikatesami charakterystycznymi dla tego regionu. Przy długim stole mogli się zmieścić wszyscy, ale siadano i wokół basenu, i na tarasie prowadzącym na białą plażę. Jessica ogłosiła, że każdy, biorąc następną porcję, ma się przysiąc do kogoś innego niż poprzednio. Dani znała wszystkich, oprócz kilkorga szkolnych przyjaciół i rodziców narzeczonej. Ojciec Jessiki siedział w wózku inwalidzkim, ale w najmniejszym stopniu mu to nie przeszkadzało w kontaktach, a jego żona i córka były pełne życia.

Sonya po cichu powiadomiła Dani, że poważnie rozważa ofertę domu, który oglądała z Ryanem. Przeprowadzka matki z Miramare była bardzo prawdopodobna.

Przy następnej porcji rozmawiała z Jarrodem Hammondem i jego śliczną narzeczoną, Brianą. Przy deserze Dani powiedziała mu, jak miło jej było spotkać się z Mattem w Port Douglas kilka tygodni temu.

- Sugerował, że możemy się wkrótce wszyscy spotkać, włączając Blake'a.

- Wspaniała wiadomość - Jarrod zareagował entuzjastycznie i odwrócił się do Briany: - Bylibyśmy szczęśliwi, gdyby to spotkanie odbyło się u nas, w Melbourne, jeśli to wszystkim pasuje.

Briana radośnie kiwnęła głową, po czym odeszła, odpowiadając na wezwanie młodej mężatki. Dani popatrzyła na Sonyę zatopioną w rozmowie z Garthem.

- Mama nie może się doczekać spotkania z nim.

- Z kim? - Ric Perrini w białym garniturze zajął miejsce Briany.

Dani bardzo go lubiła. Była zachwycona, gdy ponownie się pobrali z Kimberly miesiąc temu. Pomimo jego niezbyt ciepłych stosunków z Ryanem, dla niej był takim samym członkiem rodziny jak ona sama. Wspierał ją, gdy przeprowadziła się tutaj po upokorzeniu związanym z zerwanymi zaręczynami. Szczególnie była mu wdzięczna za

pomoc, jaką okazał Sonyi w ostatnich trudnych miesiącach, i za sprowadzenie Kimberly z powrotem do domu.

- Z Mattem Hammondem - wyjaśniła. - Wpadł zobaczyć się ze mną w zeszłym tygodniu.

- Tutaj?

Skinęła głową, nie mając ochoty wspominać o swoim ostatnim zamówieniu. Matt nie prosił jej o zachowanie Róży Panny Młodej w sekrecie, ale trudno było oczekiwać entuzjazmu Blackstone'ów.

- A w jakim celu - spytał Ric, zerkając na Jarroda - Matt chciałby się z tobą spotkać, dziecino?

Często czuła się jak jego młodsza siostra.

- Oczywiście w interesach, staruszku.

- Z ciebie jest ostra biznesmenka, Danielle - zażartował. - Nich się Hammond pilnuje, żebyś nie puściła go z torbami.

Dani zauważyła napięcie u Jarroda. Czy ta głupia waśń kiedykolwiek się skończy? Odwróciła się do Rica.

- Nie ja, głuptasie, Quinn.

- Wołałaś mnie?

Quinn pochylił się, stawiając swój talerzyk na stole.

- Ryan chce porozmawiać - powiedział cicho.

Niechętnie spojrzała w stronę stołu, przy którym pan młody rozmawiał z menedżerem ośrodka. Jego ponura mina sugerowała, że coś się dzieje.

- Problemy? - szepnęła do Quinna, wstając.

- Możliwe. - Położył dłoń na jej plecach i razem podeszli do kuzyna.

- W recepcji jest reporter, który domaga się potwierdzenia naszego ślubu - rzekł Ryan nerwowo. - Absolutnie nie chcę, żeby ta ceremonia zmieniła się w cyrk. - Popatrzył na żonę siedzącą z matką i Kimberly, sprawiającą wrażenie, że ma cały świat w nosie.

- Porozmawiam z nim - zaoferowała Dani.

- Ja pójdę - szybko powiedział Quinn. - Jeśli jest z Sydney, rozpozna cię i będzie wiedział, że jesteś powiązana z Blackstone'ami. Tym ścierwojadom do głowy jednak nie przyjdzie, że ja mógłbym zostać zaproszony na ślub w tej rodzinie.

Ryan i Dani skinęli głowami, zgadzając się, że to ma sens.

- Co mu powiesz?

- Że podejmuję ważnych klientów z za oceanu. Zostaniemy tu na noc i wyjeżdżamy rano. W ten sposób może wasz miesiąc miodowy pozostanie niezauważony.

- Ufasz mu, Danielle? - spytał Ryan, gdy patrzyli, jak podąża do recepcji za menedżerem.

Potaknęła, ale nieproszona myśl o jego groźbie ujawnienia ślubnych planów mediom w dniu ich spotkania wisiała nad nią jak chmura burzowa.

- Nie obawiaj się. - Uścisnęła dłoń Ryana, zduszając wątpliwości. - To bardzo dyskretny człowiek. Nie zepsuje tego wieczoru.

Dwie godziny później zdawało się, że miała rację. Szampan płynął strumieniami i przyjęcie zrobiło się dość żywiołowe. W końcu nowożeńcy oznajmili, że udają się do apartamentu zająć się nocą poślubną. Białe limuzyny, jedna po drugiej, zabierały gości częstowanych na pożegnanie ostatnimi porcjami szampana.

Dani i Quinn zabrali się z Rikiem i Kimberly ostatnim samochodem. Ric, wciąż zły z powodu przepychanki z dziennikarzami podczas jego ślubu na przystani, sześć tygodni temu, w Sydney, podziękował Quinnowi za pozbycie się nieproszonych gości.

- Skąd, u diabła, się dowiedzieli? Przysięgam, kiedy dopadnę tego drania donoszącego na rodzinę...

- Zaczynam mieć przekonanie, że to ktoś z biura - powiedziała Kimberly w zamyśleniu. - Zbyt wiele było ostatnio zbiegów okoliczności.

- Quinn uważa, że prasa się tu pojawiła, bo Jake Vance był wczoraj w mieście - rzekła Dani.

- Jake Vance? - Ric uniósł głowę. - A co on tu robił?

- Spotkał się z Quinnem - wyjaśniła. - Są przyjaciółmi.

Atmosfera w samochodzie wyraźnie ostygła.



- Miałeś pracowity tydzień, Quinn. Najpierw Matt Hammond, potem Jake Vance. - Ric potarł brodę. - Ktoś wykupuje masowo akcje Blackstone. Wiesz coś o tym?

Zapadła długa cisza, w której Dani wściekała się na siebie za niewczesną uwagę.

- Być może - odparł Quinn. - I co z tego?

- Wiedziałem! - warknął Ric przez zaciśnięte zęby. - Wiedziałem, że Matt Hammond jest w to zamieszany. - Wbił w Quinna nieruchome spojrzenie. - Niedawno odwiedził ciebie i Vance'a. Mam wierzyć, że nie rozmawialiście o akcjach Blackstone?

- Wierz, w co chcesz. Wszyscy jesteśmy akcjonariuszami. W tej chwili jestem zadowolony ze status quo. - Quinn też pochylił się do przodu, zbliżając twarz do Rica. - I to wszystko, co mam do powiedzenia na ten temat.

- Nie ufam ci, Everard - odezwał się w końcu Ric.

- A dlaczego miałbyś mi ufać?

- Czy wykorzystujesz Danielle, by się wkraść do rodziny?

- Ric! - obie z Kimberly zaprotestowały równocześnie.

- Uważaj, co mówisz - warknął Quinn.

Pomiędzy mężczyznami iskrzyło niebezpiecznie.

Quinn przesunął się nieco przed Dani, jakby chciał ją ochronić.

- Czy możesz mi uczciwie powiedzieć, że nie bierzesz udziału w spisku mającym na celu przejęcie Blackstone Diamonds? - Głos Rica był równie cichy, co groźny. - To rozsądne pytanie, Quinn.

- To zupełnie nierozsądne pytanie - odparł Quinn spokojnie. - Nie mam też wglądu do prywatnych interesów Matta. Ale ze swoich udziałów jestem zadowolony. - Uniósł głowę. - W tej chwili.

Ricowi zwięzły się oczy, ale cofnął się nieco, jakby trochę uspokojony.

- A Vance?

- Co z nim?

- W jakim celu spotkał się z Mattem w Sydney?

- Interesy Jake'a to jego sprawa... ale myślę, że teraz ma zupełnie co innego na głowie.

- Jego matka właśnie zmarła - dodała Dani niepewnie.

- Ale jeśli poprosi cię o wsparcie? - nie ustępował Ric.

Quinn milczał przez chwilę, a Dani wstrzymała oddech.

- Jeśli mnie poprosi - odparł zdecydowanie - to go poprę.

Ric aż się zachłusnął, ale Kimberly go ubiegła. Wsunęła ciemnowłosą głowę pomiędzy mężczyzn i obrzuciła obu wściekłym wzrokiem.

- Dość! To jest szczęśliwy dzień, do jasnej cholery!

## ROZDZIAŁ JEDENASTY

Kim i Ric wysiedli pod swoim hotelem w centrum, samochód ruszył dalej, do Four Mile. Napięcie nie zmaleło, Dani i Quinn głównie milczeli.

Samo wesele przebiegło wprawdzie bez zakłóceń, lecz sprzeczka w samochodzie wywołała mnóstwo pytań, na które tylko Quinn mógł odpowiedzieć.

- Musimy porozmawiać. Chodźmy na plażę.

- Zniszczysz sobie suknię.

Wzruszyła ramionami.

- Lepiej mi się tam myśli i tam będziesz musiał powiedzieć mi prawdę. To moje specjalne miejsce.

Wędrowali powoli, bez celu, po miękkim piasku. Bała się jak jeszcze nigdy w życiu. W końcu, z sercem w gardle, odwróciła się.

- Quinn, chcę się dowiedzieć, czy bierzesz udział w spisku mającym na celu przejęcie Blackstone Diamonds.

Milczał tak długo, że pomyślała, że nie odpowie, uzna, że nie ma prawa go wypytywać. W końcu się odezwał:

- Mówiąc ci, zdradziłbym czyjeś zaufanie.

- Ja twojego nie zdradzę, lecz muszę wiedzieć, czy znaczę dla ciebie więcej niż parę akcji.

Odetchnął głęboko. Pomiedzy nimi zawisła ciężka cisza. Powoli zaczęła się odwracać, boleśnie upokorzona.

- Chodzi o Jake'a. Wszystko jego dotyczy.

Posmutniała jeszcze bardziej. Czyli Jake Vance rzeczywiście planował przejęcie, a Quinn postanowił w tym uczestniczyć. Słowa Rica w limuzynie - „Czy wykorzystujesz Danielle, by się wkraść do rodziny?” - bolały.

Czy kiedykolwiek ktokolwiek będzie pragnął jej dla niej samej?

- On... - Quinn odchylił głowę do tyłu i westchnął ciężko. - Trudno to powiedzieć. Jake ma powody wierzyć, że jest Jamesem Hammondem Blackstone'em.

Dani spojrzała na niego ogłupiała.

- Że co?

Quinn powtórzył.

- Nie wiedział, kim jest?

- Sądził, że wie.

- Nie wierzę.

- On też nie wierzy. Dlatego zrobił test DNA, by dowieść, że April jest jego biologiczną matką.

- Powiedział ci wczoraj? Dlatego przyjechał?

- Wczoraj usłyszałem to po raz pierwszy - potwierdził Quinn, a potem dokładnie opisał jej podaną przez przyjaciela wersję wydarzeń.

- Jake nie wierzył jej. W tym czasie była na morfinie i sądził, że traciła rozum. Lecz w trakcie porządkowania domu znalazł album i w nim wszystko jest, Dani. Dziesiątki wycinków z gazet o porwaniu, o służącej i jej partnerze, którzy go uprowadzili. Zabawki i kocyk identyczne z zabranymi z sypialni Jamesa Blackstone'a.

- Chcesz mi wmówić, że ta kobieta, April, pewnego dnia poszła do sklepu, wróciła z dzieckiem i nikt nic nie zauważył? - Zaśmiała się z niedowierzaniem. - Wtedy to był gorący temat, Quinn, w całej Australii. Nigdy by się jej to nie udało.

- Jake wciąż bada sprawę, ale najwyraźniej rok wcześniej nagle zmarło dziecko April. Kiedy znalazła Jake'a, czyli Jamesa, uciekała od znęcającego się nad nią partnera. Przemieszczała się bardzo często i osiadła na południu, gdzie nikt jej nie znał. Ja znałem April. Miała swoje wady, polegające głównie na niewłaściwym doborze partnerów, ale była porządną kobietą i kochała Jake'a.

- O Boże, to naprawdę... Czyli on nie zamierza zniszczyć Blackstone Diamonds? -  
Zaśmiała się krótko. - Właściwie teraz, gdy dziedziczy firmę, byłoby to nieopłacalne.

- Może - ostrzegł. - Na razie nic nie jest potwierdzone.

Mimo że ta wieść była niczym trzęsienie ziemi, Dani poczuła ulgę. Przynajmniej nie spiskował, by doprowadzić jej kuzynów do upadku.

- Dlaczego więc nagle zmieniłeś zdanie co do ślubu?

- Chciałem zobaczyć wszystkich razem, jacy są wobec siebie, kto może być najsilniejszym oponentem Jake'a, kiedy - jeśli - wszystko to wyjdzie na jaw - odetchnął. - To się chyba udało.

Zdała sobie sprawę, że myślał o Ricu.

- Jeśli Jake należy do rodziny, Ric to zaakceptuje. Ale jeżeli zrobi cokolwiek przeciwko firmie, to już inna sprawa. To Kimberly i Ryana, a zwłaszcza jego, obawiam się najbardziej.

- Muszę im powiedzieć - rzekła Dani.

- Nie! - Chwycił ją za łokieć i odwrócił do siebie. - Wynik testu DNA April będzie dopiero w przyszłym tygodniu. Jeśli się potwierdzi, że nie jest jego biologiczną matką, będzie musiał przekonać Kim, Ryana albo nawet oboje do zrobienia testu, by dowieść, że Howard i twoja ciotka byli jego rodzicami.

Szczęścia życzę, pomyślała, wyobrażając sobie reakcję Ryana na taką prośbę.

- Quinn, czegoś takiego nie mogę przed nimi ukrywać. To nie fair.

- A kto powiedział, że życie jest fair? Dani, gdzieś w biurze Blackstone jest przeciek. Kimberly dziś to powiedziała. Zdajesz sobie sprawę, jaką burzę w prasie wywoła taka informacja? Nie mów nawet swojej matce. Z tego co wiemy, to Garth może być kretem.

- Garth? Nigdy by czegoś takiego nie zrobił!

- Prawdopodobnie nie. Ale nie ma sensu niepokoić wszystkich przed poznaniem prawdy.

Dani zdała sobie nagle sprawę, że oprócz wszystkich tych nieprzyjemności będzie zainteresowanie prasy. Gigantyczne.

- Jak ja nie znoszę tajemnic. Nie potrafię sobie wyobrazić, jaki, po minionym roku, będzie to miało wpływ na rodzinę - powiedziała.

- Jeśli się okaże jej członkiem, będzie to dobre dla wszystkich, prawda?

- Możliwe. - Prawdopodobnie nie. - Nie za dobrze znam się na rodzinach. Zapewne mam skrzywione spojrzenie. A jak ty byś się czuł, gdyby się okazał twoim dawno zaginionym bratem?

- Dla mnie rodzina to rodzina - powiedział po długiej chwili. - Lecz przypuszczam, że gdyby nagle pojawił się kompletnie obcy człowiek i próbował przejąć ster wszystkiego, nad czym do tej pory pracowałem... - Powstrzymał ją gestem. - Pamiętaj tylko, że to Howard zmienił testament, włączając do niego Jamesa. To nie pomysł Jake'a.

- Biedny Howard - mruknęła Dani, ze szczerym współczuciem dla człowieka, który nigdy nie porzucił nadziei. - Zmarł, zanim się ziściło jego marzenie.

- Utrata dziecka musi być straszna.

- Nie dla każdego. - Jej ojciec nigdy się nią nawet nie zainteresował.

Oparła się na ramieniu Quinna i uniosła nogę, by włożyć sandał.

Quinn zabrał jej drugi but i przysiadł, by go jej włożyć.

- Nie jesteś choć trochę ciekawa swojego ojca? Nie chcesz wiedzieć, kto to i dlaczego tak się wszystko potoczyło?

Spojrzała na niego ostro, zastanawiając się, skąd, u diabła, wiedział, o czym myślała.

- A dlaczego miałabym? On mnie nigdy nie był ciekaw.

Ledwie to powiedziała, zdała sobie sprawę, że to nieprawda. Błagała i próbowała wszelkich podstępów, ale matka pozostała niewzruszona. „Zapomnij o nim, Danielle. Nie chciał nas i bez niego jest nam lepiej”. Nigdy nawet nie potwierdziła ani nie zaprzeczyła, że jeszcze żyje. Quinn wstał.

- A jeśliby się okazało, że ta separacja, to nie była jego wina, jego pomysł?

- W takim wypadku jest nędzną namiastką mężczyzny - zawyrokowała. Co to za mężczyzna, który nie dzwoni, nie przysyła kartek urodzinowych, choćby jeden raz? Nawet jeśli matka go znienawidziła, to jeszcze żadne usprawiedliwienie dla ignorowania własnego dziecka. - Nigdy go nie obchodziliśmy i koniec tematu.

- Moi rodzice i Laura mówili coś niektórym dzieciom - zaczął powoli Quinn zza jej pleców. Zwolniła. - Wiele z nich od lat nawet się nie odezwało do swoich rodziców. Były wykorzystywane, bite albo tylko ignorowane. I słyszały od nich coś takiego: „Gdybyś miał taką szansę, gdyby twoja matka albo twój ojciec stanęli w tej chwili przed tobą, co byś im powiedział?”.

Dani zawahała się.

- Nic. On dla mnie nic nie znaczy.

- Gdyby stanął tu w tej chwili przed tobą, gotów cię wysłuchać...?

No właśnie, co by powiedziała? Patrzyła w ciemność i usiłowała sobie wyobrazić, jaki jest ten wyimaginowany ojciec. Wysoki, rudy jak ona? W mroku nie było żadnych odpowiedzi.

- Powiedziałabym: spóźniłeś się. - Popatrzyła Quinnowi w oczy. - Cholernie się spóźniłeś!

Następnego dnia spotkali się z Sonyą na drugim śniadaniu w hotelu. Matka nie wiedziała nic o starciu z Rikiem w samochodzie, a Dani nie zamierzała jej wtajemniczać. Poza tym bomba o Jake'u zaprzętała jej myśli.

W czasie posiłku do stolika poszedł reporter, próbując uzyskać potwierdzenie ślubu Ryana. Wykręcili się, nic nie zdradzając; młodzi zasługiwali na prywatność w trakcie miesiąca miodowego. Kiedy w końcu sobie poszedł, Quinn zasugerował, że takie poruszenie w mediach związane jest z przybyciem gubernatora generalnego, zaproszonego, by poprowadził obchody ANZAC Day<sup>5</sup>. Dani przejrzała artykuł w porannej gazecie.

<sup>5</sup>ANZAC Day - Dzień Korpusu Armii Australii i Nowej Zelandii, jedno z najważniejszych świąt australijskich obchodzone 25 kwietnia. (przyp. tłum.).

- Co roku ściągają jakiegoś nieszczęsnego dygnitarza z łóżka o piątej rano. - Uśmiechnęła się szeroko. - Wcale nie narzekam, w końcu to święto państwowe.

- Nie podziwiasz sir Johna? - spytał Quinn.

Wzruszyła ramionami.

- Żadnego polityka nie podziwiam.

- To nie polityk - zauważył. - To gubernator generalny, bezpośredni reprezentant królowej w naszej kolonii.

- Był jednak kiedyś premierem. - Dani przewróciła oczami. - Tyle hałasu o nic. Burmistrz wydaje ekskluzywne przyjęcie w hotelu Sea Tempie. Tylko dla VIP-ów. Trzy stacje telewizyjne, celebryci, nasi i z całego świata, wszystko dla jakiegoś starego nudziarza...

Sonya westchnęła głośno i sięgnęła po torebkę. Dani podniosła na nią wzrok znad gazety.

- Wracam do hotelu - powiedziała matka, odsuwając zdecydowanie krzesło. - Chyba nadchodzi migrena.

- Myślałam, że chcesz zobaczyć sklep? - Dani chciała się pochwalić nowymi projektami. Miała też niespodziankę dla niej i dla Quinna. Wczoraj podpisała umowę najmu większego lokalu o kilka numerów dalej. Cokolwiek Quinn sądził o tej lokalizacji, Dani Hammond szła w górę.

Lecz Sonya wstała, blada jak ściana.

- Lepiej sprawdzę, czy nie możemy wyjechać wcześniej i mieć lot z głowy najszybciej, jak to możliwe - powiedziała przepraszającym tonem.

- Pięć minut temu byłaś w świetnej formie - zdziwiła się Dani wśród zamieszania wywołanego szybkim wstawaniem od stołu. - Zobaczymy się na górze.

- Nie, w porządku, trzymaj się, kochanie. - Uściskała córkę mocno, szepcząc przy tym: - Lubię go - prosto do jej ucha. Gdy oderwała się od Dani, jej oczy podejrzanie błyszczały. - Ale ciebie kocham - dodała jeszcze, ucałowała ją w policzek i zniknęła.

Dani zastanawiała się zaniepokojona, o co tu chodzi. Matka nie zwykła żegnać się tak emocjonalnie. Może pokłóciła się z Garthem...?

- Może wczoraj wypła trochę za dużo szampana - zasugerował Quinn, znów w ten dziwny sposób jakby zaglądając jej do głowy.

- Prawdopodobnie. Zadzwoń do niej później.

W drodze do domu na plaży uwaga Dani zwróciła się w inną stronę.

- Teraz, po tym ślubie, skupię się na naszym życiu.



- O tak. A jeśli skończysz w terminie, mam dla ciebie niespodziankę - mruknął Quinn. - Co byś powiedziała na dumne kroczenie po czerwonym dywanie w czymś fantastycznym, ku zazdrości wszystkich swoich przyjaciół?

Oczy jej zabłysły, gdy powiedział jej, że ma zaproszenie na przyjęcie na cześć gubernatora generalnego, tego „jakiegoś starego nudziarza...”.

- Naprawdę? - VIP-owie lubili biżuterię. Jakaż to by była wystawa! - Jak zdobyłeś zaproszenie?

- Jest moim przyjacielem.

- Sir John jest przyjacielem? - Dani rozwinęła gazetę i przyjrzała się fotografii starszego człowieka w znoszonym garniturze, z rzędem medali.

Szansa na spotkanie kogoś znającego Quinna. Szansa na pokazanie paru swoich projektów.

- Jeśli skończysz naszyjnik na czas - podkreślił Quinn.

Przez następne dwa dni praktycznie nie wychodziła z warsztatu, zabroniwszy sobie przeszkadzać, dopóki nie skończy. Platyna to fascynujący metal, choć wymagający ogromnej uwagi. Niesłuchanie giętki pod wpływem wysokiej temperatury i ciągliwy - z jednego grama można otrzymać ponad dwa kilometry drutu. Na szczęście nie potrzebowała aż tyle. Kłateczkę dla diamentu zaprojektowała niesłuchanie delikatną, lecz twardość platyny w niskiej temperaturze gwarantowała jej odporność.

W końcu było po wszystkim. Dani wyszła z warsztatu z podkrążonymi, zapuchniętymi oczami. Zastała Quinna przy śniadaniu, czytającego gazetę. Spojrzała na datę, dwudziesty czwarty kwietnia. Zdążyła.

Quinn wstał, z niepokojem w oczach, i sięgnął po filiżankę. Dani powstrzymała go, gdy zobaczyła, że rozgląda się za dzbankiem z kawą.

- Nie, idę spać.

- Jak idzie?

Zawahała się, czując mdłości od kłębiących się w niej emocji. Była wyczerpana, czuła ogromną ulgę i optymistycznie zakładała, że mu się spodoba. Głównie jednak bała się, że to koniec ich znajomości.

- Skończyłam.

- Pokaż.

- Nie, jestem zbyt zmęczona i za bardzo zdenerwowana. Idź, sam zobacz, później wymyślisz komentarz, mam nadzieję pozytywny.

- Dobrze. Prześpij się. Dziś wieczorem zabiorę cię w jakieś przyjemne miejsce, tylko we dwoje, żeby to uczcić.

Dani potaknęła i powoli wspięła się na schody.

Quinn wszedł do warsztatu i natychmiast zauważył, że posprzątała. Błat warsztatowy lśnił czystością, narzędzia znalazły się na swoich miejscach. Zwątpił, czy w ogóle spała.

Naszyjnik był na ekspozytorze, na biurku. Quinn włączył lampę, odsunął daleko krzesło i usiadł.

Godzinę później wciąż tam był, w tej samej pozycji.

Szukał wrażeń, jakie klejnot na nim wywrze, i znalazł je w obfitości. Diament w diamencie. Delikatne platynowe struny, niczym prawie nieistniejące skrzydła ważki, podtrzymywały wielki kamień, oszlifowany trójkątnie, wewnątrz pajęczynowej klatki. Platyna była świetnym metalem dla żółtego kamienia, srebrzystobiała, prawie pozbawiona barwy, nie odwracała uwagi od lśnień i ogni diamentu, tylko dyskretnie podkreślała jego urodę.

Quinn ustawiał ekspozytor pod różnymi kątami, starając się pozostać bezstronnym krytykiem. Bardzo nowatorski projekt, wydajne wykorzystanie kamienia, znakomita jakość wykonania, łatwość noszenia. Dziesięć na dziesięć w każdym punkcie. Skończone, absolutnie profesjonalne, świeże i oryginalne dzieło.

I dużo bardziej konserwatywne, niż się obawiał znając jej zamiłowanie do wielkich, zwracających uwagę sztuk biżuterii. Tu dominowała dusza i osobowość samego kamienia, jak powinno być przy diamencie takiej urody i ważności.

Zastanawiał się, czy wybrała taki projekt jako symbol siebie samej, ukrywającej się w klatce własnych dzieł? Czy była dość odważna, by wyjść w światło reflektorów i zabłysnąć samą sobą?

Naprawdę zamierzał porozmawiać z nią o przeprowadzce do Sydney i porządnym marketingu. Ocknął się w nim profesjonalista. Jeśli ten klejnot trafi na aukcję, wywoła

sensację. Na oczekaniu mógł wymienić trzech kolekcjonerów, którzy zapłaciliby za niego fortunę.

Wtedy przypomniał sobie. Ten diament nie trafi na aukcję. Jego właściciel miał wobec niego zupełnie inne zamiary.

Tego wieczoru, gdy wybierali się na kolację, Quinn zapiął naszyjnik na szyi Dani, by zobaczyć, jak w nim wygląda.

- Quinn, nie mogę - protestowała, lecz oczy jej lśniły z emocji. - Zbyt się będę de-nerwować. A jeśli ktoś zobaczy?

- Wszyscy powinni zobaczyć, przynajmniej dziś wieczorem. - Pociągnął lekko za jej codzienne kolczyki. - Chyba są za duże, nie sądzisz?

Uśmiechnęła się do niego w lustrze, już sięgając, by je zdjąć.

- Naprawdę ci się podoba?

Quinn spędził kilka ostatnich godzin w łóżku, mówiąc jej, jak bardzo mu się podoba, ale zasługiwała na spełnienie wszelkich pragnień.

- Jest fantastyczny. Ty jesteś fantastyczna.

Każde słowo było prawdą. Wtedy, w warsztacie, uświadomił sobie, że chciałby być kluczem otwierającym klatkę, w której Dani się zamknęła. Przez cały dzień czekając, aż się obudzi, dopracowywał ten pomysł, przemyślał szczegóły, z każdej strony, tak jak oglądał naszyjnik.

Pragnął być elementem jej życia, pragnął, by stanowiła część jego życia. Wciąż jednak było pomiędzy nimi zbyt wiele tajemnic i kłamstw. Zawiódł zaufanie Jake'a, bo musiał dać jej pewność, dać jej coś, bo wiedział, że teraz dopuści się wobec niej największej zdrady.

W czasie kolacji, przyglądając się jednemu dziełu sztuki noszonemu przez drugie, starał się być idealnym towarzyszem przy posiłku, uważnym i czarującym, takim, jakiego oczekiwała. Błagał w duchu, by jej dobra natura pozwoliła mu wybaczyć.

Potem, w pokoju, poprosił ją, by się rozebrała tak, żeby miała na sobie tylko sandały na wysokim obcasie i naszyjnik. Wyjął spinę z jej włosów, które opadły jak wodospad ognia. Stojąc za nią i patrząc na nią w lustrze, zauważył, że i ona była zachwycona pięknem własnego dzieła, że spostrzegła, jak podkreśla je jej własna uroda.

Wiedział, że tak właśnie będzie to wyglądać, ale chłonał ten widok całym sobą, na wypadek gdyby te wspomnienia musiały mu wystarczyć na następne lata. Ognie i błyski intensywnie żółtego diamentu odbijały się w jej oczach, otaczając tęczówki pierścieniem złota. Delikatnie poruszyła ramionami, klejnot zakołysał się między jej piersiami, nadając blaskom życia. Absolutnie idealny zestaw.

Lekko zsunął dłoń z jej ramienia, sunął nią po jej ciele, coraz niżej...

...już wiedział, że stała się rzecz nie do pomyślenia. Zakochał się w Dani Hammond...

TLR

## ROZDZIAŁ DWUNASTY

Sir John Knowles był wysoki i szczupły, o wychudłych, bladych policzkach, sprawiał wrażenie zmęczonego. Dani gdzieś czytała, że niedawno przekroczył sześćdziesiątkę, ale z miejsca, w którym stała, ulubiony dygnitarz Australii wyglądał dużo starzej. Po jego prawej stronie stała elegancko ubrana, drobna kobieta.

- Czy to jego żona? - szepnęła Dani do Quinna.

- Clare - tylko tyle usłyszała w odpowiedzi.

Przewróciła oczami, mając nadzieję, że jej towarzysz nieco złagodnieje, kiedy formalna część dobiegnie końca. Przez cały dzień prawie się nie odzywał, chyba tylko żeby ponownie pochwalić jej talent. Miała nadzieję, że jego klient, kimkolwiek jest, też tak o niej myśli.

Aprobata Quinna ucieszyła ją niezmiernie, choć tkwił w tym jakiś cień, którego nie potrafiła zdefiniować. Zauważała jednak, że odwracał od niej wzrok odrobinę za wcześnie i przez cały dzień zdawał się spięty, nawet jakby czuł żal.

Przypomniała sobie wtedy spędzoną z nim ostatnią noc. Czulość nigdy jakoś jej do niego nie pasowała, jednak tym razem wręcz nią promieniował. Naprawdę poczuła się uwielbiana, wyjątkowa. Och, istniały problemy logistyczne - on mieszkał w Sydney, ciągle podróżował. Ale jak mógłby kochać się z nią z taką czulością, gdyby zamierzał od niej odejść?

Potarła ramiona, zadowolona, że nie włożyła organdy nowej sukni. Ściśnięta paskiem tunika w kwiaty, skórzana kurtka jak z filmów o gangach ulicznych i botki tuż za kostkę mogły się wydawać nieco niekonwencjonalne na tak formalne przyjęcie, ale chodziło o pokaz. Naszyjnik z rzecznych pereł i szafirów był zbyt kobiecy, by przygaszać go uległą, liliową barwą. Musiał triumfować nad czymś beczelnym.

Bezwiednie go dotknęła, patrząc na czerwony dywan, po którym powoli się posuwali. Przypomniała sobie oczy Quinna, gdy w końcu byli zmuszeni wyjść z sypialni.

- Quinn - rzekł sir John po prostu, ujmując obie jego dłonie w swoje.

- Chciałbym przedstawić - usłyszała, popchnięta delikatnie do przodu - Danielle Hammond.

Sir John ujął podaną mu dłoń i objął ją drugą. Wpatrywał się w nią tak długo, że miała wrażenie, że uśmiech zarósł jej pajęczyną.

Quinn przywitał się z żoną sir Johna, potem wyjął z kieszeni podłużne pudełko. Ignorując szeroko otwarte w nagłym zrozumieniu oczy Dani, podał je gubernatorowi generalnemu. Ten jeszcze raz uścisnął jej dłonie, puścił je, przyjął pudełko i nie otwierając go, przekazał żonie.

Dani zamarła. Czyli naszyjnik - jej naszyjnik - był dla sir Johna, a właściwie dla jego żony. Kobiety, która w tej chwili niepewnie się do niej uśmiechała.

Poczuła bolesną stratę, potem lęk. Często zdarzały jej się emocjonalne reakcje, gdy sprzedawała ulubiony klejnot, ale teraz była po prostu przestraszona. Z wypowiedzi Quinna wywnioskowała, że ma zaprojektować naszyjnik tak, jakby to ona miała go nosić. Jakoś nie potrafiła go sobie wyobrazić na szyi tej kobiety.

Sir John zwrócił się do niej, a jeśli zauważył jej sztywną minę, nie dał tego po sobie poznać.

- Dziękuję pani, moja droga. - Skinieniem głowy wskazał trzymane przez żonę pudełko.

To klejnot dla dużo młodszej osoby, pomyślała Dani.

- Czy uczyni mi pani zaszczyt i dołączy do nas za chwilę na drinka, w naszym pokoju?

- Oczywiście, sir John - odpowiedział Quinn za nich oboje.

Kiedy znaleźli się poza zasięgiem słuchu, Dani eksplodowała.

- Nie wierzę! To on jest twoim klientem?! - Quinn potaknął. - Och! - jęknęła. - Namówiłeś mnie na współczesny projekt, na coś, co sama bym nosiła. - Potrząsnęła głową, niemal przerażona. - Jest przeznaczony dla osoby dużo młodszej niż ona.

- Dani, naszyjnik jest perfekcyjny.

- Ale... - Gdyby tylko jej powiedział, dał jej zdjęcie kobiety, cokolwiek. - Dodałabym dodatkowe brylanciki, może inne kamienie, perły... Niech to szlag, powinnam była dodać perły!

- Sir John zna się na biżuterii. Zobaczysz dokładnie to samo co ja. Jesteś w światowej czołówce, Dani Hammond, pod wieloma względami.

Trochę się uspokoiła. Ufała mu. Zbyt mocny miał charakter, żeby jej pozwolić na porażkę. Stawką była w końcu również jego własna reputacja zawodowa.

Półtorej godziny później, gdy burmistrz podszedł i poprosił, by poszli za nim, wciąż była spięta i bardzo niepewna.

Burmistrz wprowadził ich do luksusowego apartamentu i wyszedł. Sir John i jego żona zajmowali dwa fotele, za nimi wysokie drzwi otwierały się na balkon. Na stoliku pomiędzy nimi leżało otwarte, wyściełane błękitnym welwetem pudełko.

Sir John wstał i podszedł się przywitać. Tym razem jego uśmiech był naprawdę ciepły, nie tylko uprzejmy, jak na przyjęciu.

Była zbyt zdenerwowana, by przyjąć drinka. Przez cały czas zdawkowej pogawędki mężczyzna pani Knowles wpatrywała się w naszyjnik. W końcu wszyscy usiedli.

Zapadła niezręczna cisza, pudełko na stole przyciągało oczy wszystkich jak magnes. Quinn siedział obok Dani, tak spięty, jakim go jeszcze nie widziała. Przerzucała niespokojnie spojrzenie z jednej osoby na drugą, marząc, żeby ktokolwiek się odezwał. Po minucie pragnęła już zapaść się pod podłogę. W końcu nie była w stanie dłużej znieść napięcia.

- Czy z naszyjnikiem jest coś nie tak? - spytała gwałtownie.

Quinn, wciąż na nią nie patrząc, chwycił ją za rękę. Pani Knowles odchrząknęła i mruknęła pod nosem coś, co zabrzmiało jak przerażające: „biedne dziecko”.

Sir John uniósł głowę zmęczonym gestem, spojrzał na żonę, potem na Quinna i poprosił cicho:

- Moglibyście?

Pani Knowles wstała natychmiast, poganiając Quinna wzrokiem. Ten uściskał jeszcze raz dłoń Dani i też się podniósł, powstrzymując ją ręką, położoną na ramieniu.

- Zostań - mruknął cicho.

Posłuchała, kompletnie już oszołomiona. Quinn i pani Knowles wyszli, zamykając za sobą cicho drzwi.

Co tu się, do cholery, dzieje?!



Ogarnęły ją złe przeczucia. Jeśli naszyjnik mu się nie podoba, dlaczego po prostu tego nie powie? Mogła go przerobić; płacił wystarczająco dobrze. Z radością przedyskutowałaby projekt z jego żoną.

Tęsknie spojrzała na drzwi, marząc, by znaleźć się po drugiej ich stronie. Z Quinnem.

- To dobry człowiek - powiedział cicho sir John, podążając wzrokiem za jej spojrzeniem.

Poprawiła się na fotelu, odzyskując trochę kontenans.

- Czy pana żona jest niezadowolona z naszyjnika?

Łagodne spojrzenie orzechowych oczu badało jej twarz. Był wysoki, ale jego sylwetka sugerowała, że niedawno dużo stracił na wadze.

- Clare sądzi, tak samo jak ja, że jesteś bardzo utalentowana. Ale - odchrząknął i pochylił się w przód - ten naszyjnik nie jest dla niej. Tylko dla... ciebie.

Chyba się przesłyszała.

- Przepraszam bardzo?

Pudełko zadygotało w jego rękach. Uniosła się nieco i przytrzymała je.

- Quinn znalazł dla mnie ten diament sześć lat temu. Zawsze przeznaczony był dla ciebie.

Popchnął pudełko lekko w jej stronę. Nie miała innego wyjścia, jak tylko je wziąć.

- Zaczyna mnie pan przerażać, sir John.

- To są moje przeprosiny i spuścizna po mnie, bo, Danielle, jestem twoim ojcem.

Jestem twoim ojcem.

Dani powoli opuściła pudełko na kolana, bezgłośnie poruszając ustami. Twoim ojcem. Te dwa słowa wirowały jej samotnie w głowie. Wszystkiego mogła się spodziewać, tylko nie tego. I dlaczego Quinn jej nie powiedział? Czy w ogóle o tym wiedział?

Oczywiście, że wiedział.

Jej ojciec. Wpatrywała się w jego twarz, szukając jakiegoś związku, jakiegoś podobieństwa. Wyrazisty nos, pokryty chorobliwymi plamami, podbródek wciąż mocny, ale pod zapadniętymi policzkami wręcz krzyczącymi bólem. Krawat zdawał się za moc-

no zaciśnięty wokół jego słabej, pobrużdżonej szyi. Biała koszula skrywała wyniszczoną zapewne pierś.

Powoli obudził się gniew, nie tylko na niego, ale i na Quinna. Oraz matkę. Musiała wiedzieć, co się szykuje. Dani starała się, by tych emocji nie dało się zobaczyć na jej twarzy.

Sir John najwyraźniej zdał sobie sprawę, że nie doczeka się najmniejszej pomocy z jej strony.

- Byłem przywódcą opozycji. Twoja matka, Sonya - wymówił to imię z taką czułością, że Dani aż się zachłysnęła - pomagała w kampanii. Byłem niedługo po ślubie z Clare, którą znałem od dziecka. Sonya zwróciła moją uwagę, przyznając. Zaprzyjaźniliśmy się i do niczego by nie doszło, bo oboje byliśmy porządnymi ludźmi. Bardzo serio traktowałem przysięgę małżeńską, a twoja matka nie należała do kategorii kobiet, które rozbijają rodziny.

Nie mów mi, kim jest moja matka! - chciała warknąć. Nawet nie wymawiaj jej imienia! Ale ugryzła się w język.

- Lecz wtedy zmarła twoja ciotka Ursula. Twoja matka była bardzo zmartwiona. Usiłowałem się trzymać od niej z daleka. Oboje próbowaliśmy. Potencjalne konsekwencje były poważniejsze niż moje małżeństwo czy kariera. To bym dla Sonyi zaryzykował z radością. Lecz była jeszcze partia, która miała wprowadzić kraj w nowe dziesięciolecie...

Dani nagle zrozumiała, dlaczego zawsze tak nienawidziła polityków - z powodu sposobu, w jaki usiłowali wszystko usprawiedliwić.

- Chciałem ją tylko trochę pocieszyć, ale wszystko potoczyło się jak lawina. Niemal natychmiast zaszła w ciążę.

W ciszy, która zapadła po tym wyznaniu, Dani była przepelniona milionem oskarżeń i pytań. Wiedziała, że musi brać pod uwagę zupełnie inne czasy, bardzo trudną pozycję swojej matki, nieodparty urok potężnego, charyzmatycznego człowieka. Lecz w tej chwili gniew pokonał wszelkie nawet ślady współczucia.

- Bardzo ją kochałem - wyznał starzec żałośnie. - Proszę cię, nie wątp w to nigdy.

- Oczywiście, że kochałeś - powiedziała cicho, czując w gardle płomień furii. - Dlatego utrzymywałeś z nami tak bliski kontakt.

- Nie oczekuję zrozumienia, ale wiedz, że żałuję bardziej, niż potrafisz sobie wyobrazić.

Dani zacisnęła zęby i spojrzała na naszyjnik. Tak żałował, że teraz ją kupował. Czyżby nie wiedział, jak niewiele było trzeba? Wystarczyłaby filiżanka kawy, kwiatki na urodziny albo uroczystość wręczania dyplomów. Jeden telefon.

- Myślałem o tobie każdego dnia - wychrypiało słabo.

Ale nie dość, żeby nawiązać kontakt. Jej ręka jakby sama, bez jej woli, wskazała okno.

- Jakiż to szczęśliwy traf, że obchody ANZAC Day są w tym roku tutaj? Po dwudziestu siedmiu latach mogłeś upiec dwie pieczenie przy jednym ogniu.

Sir John długo nie odpowiadał.

- Tak mi przykro, kochanie. Bardzo chciałem stanowić część twojego życia, ale to było niemożliwe. Widzisz, Howard szantażem zmusił mnie do trzymania się z daleka.

Nie. Nie zrobiłby tego. Niewidzialna kłamra ścisnęła jej serce. Błagam, niech to nie będzie prawda...

- Dla... dlaczego? Jaki mógłby mieć motyw?

- Górnicy od dwóch lat strajkowali. Rząd wykorzystywał to do nieczystej walki. - Poblądł jeszcze mocniej, odetchnął z trudem. - Cała ta gałąź gospodarki się waliła. Moja partia obiecała skończyć ze strajkiem. Howard, a właściwie to nikt liczący się w branży nie mógł sobie pozwolić na naszą porażkę.

A pozamałżeński romans, nastoletnia matka, w tamtych czasach oznaczałyby dla tej partii katowski pień.

Jak Howard mógł to zrobić? Chciało jej się jednocześnie wyć z rozpacz i wrzeszczeć z wściekłości. Kto mu dał prawo? Otuliła się ramionami, wciąż z pudełkiem w dłoniach.

- Tak mi przykro - szepnął jej ojciec.

Naprawdę, naprawdę chciała poczuć choć ślad współczucia. Jednak wszystko pożerał płomień gniewu.

- Umieram, Danielle. Rak płuc.

Słowa zawisły pomiędzy nimi. Kiwała się bezradnie we własnych objęciach. Szukał wzrokiem jej oczu.

Umysł odmawiał jej posłuszeństwa. On umierał. Był tu nie dlatego, że chciał się z nią spotkać, poznać swoją nieślubną córkę. Chciał tylko przed śmiercią złagodzić swoje poczucie winy.

Zabrakło jej tchu. Wrzący w niej gniew stracił żar, zmienił się w lodowatą furję. Zerwała się, z pudełkiem w dłoni.

- Jak śmiesz! - Nie myśląc, kierowana tylko wściekłością, cisnęła pudełkiem w ścianę za nim. Odbiło się, wszystko spadło na podłogę, platynowa klameczka zaślśniła na białych płytkach.

- Ty samolubny, stary... - Jakiś ślad dziwnego szacunku powstrzymał ją przed wykrzyknięciem „łajdaku”. W końcu był to gubernator generalny Australii.

Sir John ani drgnął, wciąż z pochyloną głową, blady do przezroczystości. Nic jej to nie obchodziło. Zastukała obcasami na terakotowej podłodze, szarpnęła drzwi i wpadła prosto na Quinna.

On też, jak śmiał?

Wymówił jej imię, delikatnie ujął za nadgarstki, chyba tylko nadczłowiek powstrzymałby się przed wymierzeniem mu policzka.

Clare Knowles prześliznęła się obok nich i z niepokojem na twarzy zniknęła w pokoju.

- Jak mogłeś! - jęknęła Dani, zduszonym głosem. - Jak mogłeś mi to zrobić?

- Dani, tak mi przykro...

- Puść.

- Dani, musiałem, on umiera.

Oparła się jego wysiłkom, by ją posadzić w fotelu.

- Od jak dawna wiesz?

- Od dnia naszego wyjazdu z Sydney.

Dani ugryzła się w wargę. Pamiętała tamten telefon, jego uprzejme przeprosiny „muszę odebrać...”. Pojechała na lotnisko bez niego. Poczowała smak krwi.

- Ty łajdaku - powiedziała cicho.

- Howard Blackstone szantażem zmusił go do całkowitego zerwania kontaktu.

- Nie! - Głos jej się załamał. - Nie waż się nawet wymawiać jego imienia! Howard był o wiele lepszy, niż ty kiedykolwiek będziesz!

- Dani, on umiera. Jest moim przyjacielem, błagał mnie, a jest o krok od śmierci. - Ścisnął jej dłoń w swoich dłoniach.

- Wtedy wieczorem powiedziałam ci, że ojciec nic dla mnie nie znaczy. Boże, Quinn, rozmawialiśmy o tym. Miałaś idealną okazję, by mi powiedzieć.

- A przysłałabyś tu, gdybym ci powiedział?

Potrząsnęła głową, próbując się wyrwać z jego uścisku.

- Wrobiłaś mnie. Nie wiem, jak mogłaś mi to zrobić, tak przyprowadzić mnie tu i zostawić.

Łzy płynęły jej już ciurkiem. Wstydziła się. Płaczu, sprawienia bólu starcowi, zaufania Quinnowi Everardowi.

- Sądziłam, że cię kocham, ale nie mogę kochać kogoś zdolnego do czegoś takiego - załkała, z dłonią wciąż w jego rękach. - Nienawidzę cię...

- Quinn? - Clare Knowles stanęła w drzwiach.

Dani odwróciła głowę, nie chcąc się spotkać spojrzeniem z tamtą kobietą, choć usłyszała niepokój w jej głosie. Quinn spojrzał na Clare, dzięki temu Dani znalazła w sobie dość sił, by wyśliznąć się z jego uścisku.

Po raz kolejny była druga w kolejce, nigdy jeszcze pierwsza. Nie dość dobra, by być córką. Nie dość dobra, by należeć do Blackstone'ów. Nie dość dobra, by być narzeczoną.

Nie dość dobra, by być jego...

## ROZDZIAŁ TRZYNASTY

W świąteczną piątkową noc ulice były pełne podchmielonych tłumów. W niedługim czasie po ucieczce od Quinna i ojca Dani stała przed swoim sklepem, użalając się nad sobą i nienawidząc siebie za to. Jak Quinn mógł jej to zrobić, pozwolić, by w najważniejszym momencie życia znalazła się zupełnie nieprzygotowana?

A jej matka? Będzie musiała odpowiedzieć na wiele pytań. Pchnięta błyskiem gniewu wyszarpnęła komórkę z torebki i wybrała numer. Sonya rozplakała się, mówiąc, że bała się tej chwili, od kiedy kilka tygodni temu dowiedziała się, gdzie będą oficjalne obchody święta.

- John zadzwonił do mnie po pogrzebie Howarda, chcąc się z tobą skontaktować. Odmówiłam, błagałam go, mówiłam mu, że jesteś szczęśliwa.

Matka nic nie wiedziała o szantażu Howarda, ale przyznała, że to on przekazał jej wiadomość, że lider partii opozycyjnej nie chce mieć nic wspólnego z nią i dzieckiem.

- Dał mi wybór: piętno, skandal i upadek nowego rządu albo bezpieczeństwo. Powiedział, że zawsze będzie się nami opiekował. Musiałam zrobić to, co dla ciebie było lepsze.

- Kochałaś go? - spytała Dani, drżącym głosem. - Mojego ojca?

- Tak sądziłam - westchnęła matka. - Musisz zrozumieć, miałam tylko dziewiętnaście lat. W jedną noc zmieniłam się z beztroskiej nastolatki w osobę odpowiedzialną za dwoje dzieci, bo Howard był tak załamany śmiercią Ursuli, że zupełnie sobie z nimi nie radził. John był atrakcyjny, ważny.

Matka błagała ją o przyjazd z samego rana, ale Dani wiedziała, że zrobiłaby wszystko, byle tylko ściągnąć ją do domu w Sydney. Poprosiła więc o kilka dni cierpliwości i przerwała połączenie.

Z baru wyszła grupka ludzi. Zygzakiem powędrowali ulicą, rozproszyli się, by przepuścić karetkę na sygnale. Jej odbicie w oknie rozpadło się na mnóstwo fragmentów, zupełnie jak jej serce. Poczuli potrzebę spokoju, jaki dawała jej plaża. O tej porze będzie tam pusto.

Powędrowała bez celu, po wydmach, w stronę Four Mile. Nie spieszyła się. Użalenie się nad sobą mogło zająć dużo czasu. Przez głowę przemykały jej wspomnienia wydarzeń z tego dnia, z całego jej życia.

W dojrzałym wieku dwudziestu pięciu lat została poproszona o rękę przez bezwartościowego mężczyznę. Zgodziła się, bo poprosił. Pragnęła tylko jednego: być dla kogoś najważniejsza, być oczkiem w jego głowie. Tymczasem to wydarzenie złamało jej serce. Teraz znów jej się to przytrafiało. Tylko że to, co czuła do Nicka, było żalosną namiastką jej miłości do Quinna Everarda. Różnica była jak pomiędzy przykuciem do inwalidzkiego wózka w strugach lodowatego deszczu a radosnym spacerem po plaży w słoneczny dzień.

Kiepska to była noc dla mężczyzny w jej życiu, pomyślała gorzko. Dawno utracony ojciec, który nigdy jej nie uznał ani nawet się z nią nie skontaktował, nagle się objawił tylko po to, żeby ją powiadomić o zbliżającej się śmierci. Uwielbiany dobroczyńca zdradził ją w okrutny sposób i jej wspomnienia o nim będą zbrukane na zawsze. A mężczyzna, w którym zakochała się na śmierć i życie, od chwili spotkania nie powiedział jednego słowa prawdy.

Szum fal ukoił ją, jak zawsze. Plaża była jej przyjaciółką.

Usuając Quinna z myśli, zmusiła się do zaakceptowania dwóch słów. Mój ojciec. Mój ojciec, gubernator generalny. Mój ojciec, który umiera. Mężczyzna, którego nieobecność ukształtowała sposób, w jaki o sobie myślała.

Lecz jej poczucie, że nie jest dość dobra, to nie jego wina. Czyż nie miała wszystkiego co najlepsze w życiu? Nie wychowywała się na ulicy jak dzieci, które rodzice Quinna brali do domu. Mieszkała w luksusowym domu, chodziła do najlepszych szkół. Do diabła, nawet nie musiała zarobić pieniędzy na uruchomienie własnego interesu. Howard podał jej to wszystko na dłoni.

Ładny kamień zamrugał do niej w świetle księżyca. Kopnęła go z całej siły i z satysfakcją obserwowała, jak zatacza łuk, niknąc w ciemności. Miała powody do gniewu i upokorzenia, bo wszyscy kłamali. Matka. Howard. Ojciec. Quinn. Bez końca mogła żywić się żalem nad samą sobą, tylko że to bardzo nędzny posiłek.



Przed oczami stanęła jej twarz ojca. Jak mogła nie dać mu nawet szansy na wyjaśnienia? Zniknął dwadzieścia siedem lat temu i cały ten czas został wciśnięty w jedną, gorzką pigułkę oskarżeń.

Boże, a jeśli wczorajsze zdenerwowanie wszystko pogorszyło? Przyspieszyła kroku, nagle mając cel wędrówki. Nie mogła się od niego odwrócić, skoro był jedyną osobą, której jej przez całe życie brakowało.

Znajdowała się w połowie drogi pomiędzy miastem a Four Mile, dwadzieścia minut biegiem do dowolnego z nich. A jeśli będzie za późno? Przyspieszyła do truchtu. Tak się zatraciła w biegu i panice, że nie słyszała motoru, zanim nie znalazł się tuż obok niej.

- Dani! Wsiadaj!

Co się dzieje? Quinn w garniturze, na brudnej, zablokowanej maszynie.

- Zatrzymaj się, do cholery!

Dani stanęła, ciężko oddychając. Zdarł z głowy kask, rzucił go jej.

Jeszcze nie zdążyła zacząć o nim myśleć, a znów wkroczył w jej życie.

- Wsiadaj - powtórzył szybko. - Zawieźli go do szpitala Cairns Base.

Z okrzykiem niepokoju wcisnęła kask na głowę i niezgrabnie wspięła się na siedzenie. Objęła go ramionami, kiedy przyspieszał. Zamknęła oczy i zaczęła się modlić z całych sił.

Niespełna godzinę później z piskiem opon zahamowali przed wejściem do szpitala.

- Biegnij, spotkamy się w środku.

Drżąca od nocnego chłodu i lęku popędziła szukać ojca.

Ku jej ogromnej uldze chodziło tylko o lekką niewydolność oddechową, spowodowaną nadmiarem płynu w płucach będącym, jak się dowiedziała, typowym objawem zaawansowanego raka. Był przytomny, nie cierpiał. Miał zostać na obserwacji do rana, kiedy zamierzano go wypisać.

Następną godzinę Dani spędziła przy nim, trzymając go za rękę. Patrzył na nią, nie mogąc mówić przez maskę tlenową, ale uniósł jej dłoń, uścisnął ją, nawet raz się uśmiechnął. Żona siedziała po drugiej stronie łóżka. Powiedziała im obojgu, że czas zrobić w oficjalnych obowiązkach przerwę na poznanie córki.

Dani wyszła z oddziału o trzeciej w nocy. Była wyczerpana, wymięta i brudna. Nie miała pojęcia, gdzie spędzi resztę nocy. A już zupełnie nie spodziewała się zobaczyć Quinna cierpliwie czekającego w holu.

Pomimo wszystko zrobiło jej się ciepłej koło serca na widok jego zrujnowanego garnituru i zmierzwionych włosów.

Tyle się wydarzyło, że tamte chwile na czerwonym dywanie zdawały się odległe o parę lat. Tak wiele się zmieniło.

- Jak się miewa? - Oczy miał podkrążone, zmęczone, pełne niepokoju.

- Odpoczywa. Przetrzymają go do rana, ale jutro może wrócić do hotelu.

- Do hotelu? - zdziwił się. - Nie do domu?

- Postanowili na parę dni zatrzymać się w Port. - Usiadła o kilka krzeseł od niego.

- Rozumiem. - Popatrzył na nią. - To dobrze?

- Dobrze. - Dani uśmiechnęła się słabo.

Odetchnęła głęboko i powtórzyła to słowo w myśli. Dobrze. Tak wiele straconego czasu miała do nadrobienia. Tak samo jej ojciec. Zamierzała tego dopilnować.

- Możesz mi wyjaśnić, skąd się w środku nocy wzięłeś na motorze w połowie drogi do Four Mile?

- W pierwszej chwili myślałem, że będziesz w sklepie, ale potem przypomniałem sobie o plaży.

Pamiętał, że to jej specjalne miejsce.

- A motor?

Przeczesał włosy. Długa jazda przez chłodną, wilgotną noc doszczętnie popsuka mu fryzurę.

- Interesujący ciąg przypadków, na który składają się: czterej chłopcy rozrabiający na plaży, mój rolex, parę dolarów i parę dobrze dobranych gróźb. - Uśmiechnął się lekko.

- Nie wspominając już o ryzyku aresztowania w każdej chwili.

Dani zaśmiała się słabo.

- Mój bohater.

Mój bohaterski kłamca, poprawiła się w myślach i spoważniała. On też.

- Pomyślałem, że nigdy sobie nie wybaczysz, jeśli... - Skinął głową w stronę odzianiu.

- Dlatego zaczęłam biec - mruknęła. - Tam na plaży... - przerwała na dłuższą chwilę. - Dziękuję.

Zapadło niezręczne milczenie. Potarła ramiona, zadowolona z kurtki i butów. Gdyby odbyła tę szaloną jazdę w organdykowej sukni...

- Dani - odezwał się miękko, z bólem w oczach. - Strasznie mi przykro, że tak bardzo cię zraniłem.

Odwróciła wzrok. Czy mogła mu ufać, po tych wszystkich kłamstwach? W końcu były dość poważne. Nie w stylu „ślicznie wyglądasz” czy „przecież nie zapomniałbym o twoich urodzinach”... Jego kłamstwa zawierały szantaż, wymuszenie, podejrzaną interesy, ukrywanie ojca...

Lecz przy tych wszystkich emocjach mijającej nocy gniew się w niej wypalił. Smutek jeszcze nie.

- Wiem, dlaczego to zrobiłeś - zaczęła. - Nie mogłeś spełnić życzenia umierającej żony. To była druga szansa.

- Szansa na wyrównanie rachunków - rzekł zamyślony. - Mogłaś mieć rację. Doszedłem do wniosku, że ja mam czas, by ci się przypodobać. Twojemu ojcu on się już kończy.

Przypodobać się jej? Śmiałe zamiary.

- Czyli ustaliliśmy, że jesteś lojalnym przyjacielem. Kochankiem może jednak nie aż tak lojalnym.

Oczy pociemniały mu z bólu.

- Chyba też mogę takim być. Przez te ostatnie lata to nie miłość do Laury powstrzymywała mnie od zakochania się. Po prostu nie potrzebowałem tego i nawet do tego uczucia nie tęskniłem. Żyło mi się wygodnie, dużo podróżowałem, mnóstwo zarabiałem. Myślałem, że jestem szczęśliwy. Żyłem samotnie, nie żałując sobie przyjemności. Sądziłem, że mam wszystko. Ale ty...

- Ja co? - Puls jej przyspieszył, czyżby mówił, że jej pragnie, że to nie koniec?

- Nie stracę cię - powiedział gwałtownie, chwytając ją za rękę. - Nie teraz, kiedy wywróciłaś moje życie do góry nogami.

Delikatnie uwolniła dłonie i splotła je na kolanach. Potężna fala emocji uniemożliwiła jej logiczne myślenie. Czyżby chciał zmienić swoje życie dla niej? Był zainteresowany związkiem?

Kątem oka dostrzegła ruch. Quinn Everard siedział o pół metra od niej i skręcał się z niepewności. Wielki negocjator, który bez mrugnięcia okiem wydał piętnaście milionów funtów brytyjskich na obraz, był zdenerwowany.

- Powiedziałaś mi, że mnie kochasz - mruknął przez zaciśnięte zęby.

- Doprawdy? - Tak, pamiętała, na przyjęciu, tuż przed ucieczką. - Powiedziałam też, że cię nienawidzę.

- Wcale nie szukałem, ale nagle znalazłem cię. - Odwrócił się twarzą do niej i chwycił ją za nadgarstki, zanim zdążyła się cofnąć. - Ty znalazłaś mnie. Kocham cię, Dani. Nie chciałem, próbowałem tego uniknąć, ale kocham.

Podarowała głowę, ale jej ręce pozostały spokojne.

- Ty mnie kochasz? - Szukała w jego twarzy winy lub żalu.

Westchnął głęboko.

- Dani, jesteś bystra, pełna życia, masz poczucie humoru. Jesteś piekielnie frustrująca i niewiarygodnie utalentowana. Myślę o tobie w każdej chwili, a kiedy jestem z daleka od ciebie, tęsknię za tobą, twoim uśmiechem, twoimi szalonymi kolorami - mówił pospiesznie, gwałtownie. - Jesteś jedyną osobą w ciągu tych wielu lat, która obudziła we mnie takie uczucia. Właściwie to w ogóle jedyną.

- Och... - Oszołomiona zaskoczeniem, podekscytowaniem i miłością zachwiała się. Miała nadzieję, że nie zemdleje. Bała się zaufać lśniącej w jego oczach miłości. Pochylił się i musnął kciukiem jej policzek. Zdał sobie sprawę, że płakała.

- Możesz mi wybaczyć, kochanie? Jestem gotów spędzić resztę życia na podlizywaniu się tobie.

Ścisnęła mu dłoń z radości. Czyżby naprawdę wszystko, czego kiedykolwiek pragnęła, znalazło się w zasięgu dłoni? To on był tym wszystkim. Lojalny i ciepły wobec

bliskich mu osób. Pełen entuzjazmu dla jej pracy. Kochała go, prawdopodobnie od chwili, gdy go zobaczyła, na pewno od Sydney.

- Zakochałam się w tobie w Sydney - wykrztusiła, pociągając potężnie nosem.

- Chciałem, żebyś się do mnie sprowadziła, spotkała moich bliskich, by zobaczyć, dokąd nas to zaprowadzi. Lecz rozpoznałem, że to miłość, dopiero gdy złamałem słowo dane Jake'owi. A potem, kiedy zobaczyłem naszyjnik... - Przysunął się i objął ją mocno.

Dani pociągnęła znów nosem, ocierając twarz o klapy jego marynarki.

- Jak sobie poradzimy? - jęknęła. - Ty mieszkasz tam, daleko. Ciągłe podróżujesz...

- Mam plan. Pół roku tutaj - jeśli nie masz nic przeciwko temu, tę chłodniejszą część - drugie w Sydney. Steve będzie prowadził sklep, a ty zajmiesz się projektowaniem. - Puścił ją i uniósł jej twarz, wpatrując się w nią surowo. - A potem pojedziemy do Sydney porządnie cię wypromować, Dani. Wszystko: wystawy, anonse w mediach, zdjęcia twojej biżuterii na celebrytach. Czas przestać uciekać i pokazać wszystkim, z jakiej jesteś ulepiona gliny.

- Dobrze - zgodziła się ostrożnie. - Ale co z twoimi interesami?

- Od tego są pracownicy. Zmniejszą liczbę podróży. Zostawię tylko te, w które i ty będziesz mogła się wybrać i reklamować swoje projekty w wielkich centrach.

Zamknęła oczy i wtuliła się w jego ciepło, zmęczona, a jednocześnie przepelniona radością.

Z Quinnem u boku już nigdy nie będzie się bać porażki. Sięgnie po gwiazdy, odciśnie swoje piętno na wszystkim, czego się tknie. On będzie bezustannie stymulował ją do tego, żeby była najlepsza, a tego właśnie pragnęła bardziej niż czegokolwiek innego.

Jej serce przepelniała radość. Dla niego była pierwsza, była jego najcenniejszym klejnotem. Ojciec pragnął ją mieć przy sobie przez ten krótki czas, jaki mu pozostał. Dzięki młodszemu pokoleniu kuzyni może w końcu odbudują więzi między sobą. Miłość i rodzina, wszystko w tak krótkim czasie.

Wreszcie poczuła się częścią jakiejś wspólnoty.

